

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobieczy

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 31 MAJA 1930 ROKU

NR. 22

TREŚĆ NUMERU: Kultura radości i spokoju — *Marja Benistawska*. Wanda Ładzina — *N. J.* Do wstępnej — *Marja Kuncewiczowa*. Poezje: „Wiosna-lwica” — *Marja Pawlikowska*. Matka — *Ewa Szelburg-Zarembina*. Matki na emigracji — *M. Znatowicz-Szczepańska*. Dom kobiet wszystkich narodów — *Jadwiga Krawczyńska*. Svaradzystki — *E. B-T.* Jubileusz Stanisławy Wysockiej. Z teatrów — *S. P. O.* Z książek — *L. N.* Książki nadesłane do Redakcji. Kobieta w świecie i w domu. Nowoczesne mieszkanie — *J. Ginett-Wojnarowiczowa*. „Nasze pogotowie” — *Marja Dobrowolska*. Morwa biała — *M. Saryusz-Stokowska*. „500 złotych miesięcznie” — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Moda na plaży — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie” — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

KULTURA RADOŚCI I SPOKOJU

Większa, niżby się zdawało, mądrość kryje się w przysłowiu: złotemu oku wszystko złote. Nie znaczy to jedynie, że uprzedzenie fałszuje sąd, ale także, że istotna wartość objawów życiowych — ich subiektywna wartość — leży poza nieuchwytną niekiedy ich wartością obiektywną. To, co jednemu da zadowolenia wysokiej marki, estetyczne, etyczne, afektywne — drugiemu człowiekowi, o odmiennym nastawieniu psychicznym, da wrażenia raczej ujemnej natury, albo prześlizgnie się przez oka jego wrażliwości bez śladu.

W życiu spotykamy raz po raz ludzi, stale głoszących o swych nieszczęściach, krzywdach, niepowodzeniach wprost nieprawdopodobnych, podczas gdy inni mają zawsze do przytoczenia fakty cudownych powodzeń, na każdym kroku spotykają dobroczyńców, życiowe wypadki układają się im pomyślnie; słowem: „pechowców” z jednej strony i „szczęściarzy” — z drugiej.

Przy głębszym rozejrzeniu się w biegu konkretnych faktów z życia zarówno jednych, jak drugich, staje się jasnym, że różnica leży nie w tych przeżyciach, tylko w wewnętrznym aparacie psychiczno-odbiorczym danych ludzi.

Zwrócił kiedyś moją uwagę jeden drobny życiowy facycik, z tych, które same w sobie nic nie znaczą, ale nadają się, jako punkt wyjścia w poszukiwaniu głębszych prawd i szerokich uogólnień.

Miałam przygodnie dwa różne klucze od dwu szuflad. Klucze te były jednakowej wielkości; sięgając pośpiesznie do kieszeni, brałam jeden na chybi-trafi i ten właśnie — *zaraz ten* — nie pasował do zamka szuflady, którą miałam otworzyć! Zaintrygo-

wała mię taka złośliwość rzeczy martwych i postanowiłam bliżej zbadać tę sprawę. Gdy zdarzyło się, że klucz wypadł „nie ten” — kładłam znaczek na prawo; gdy otworzył odrazu, kładłam inny — na lewo. A klucze sprzeciwiały mi się dalej złośliwie, irytując i niecierpliwiając...

Po trzech dniach przeliczyłam znaczki, odkładane na prawo, i znaczki, odkładane na lewo: przebóg! tu i tam była ich liczba *jednakowa*.

Chwila zastanowienia przyniosła mi rozwiązanie zagadki. Gdy odrazu trafiał mi do ręki klucz właściwy, otwierałam szufladę bezwiednie, *żadne* wrażenie z tej czynności nie odezwało się w świadomości mojej. Gdy natomiast usiłowałam włożyć w dziurkę klucz niewłaściwy i nie udawało mi się, niecierpliwilo mię to i konieczność zmiany klucza, mitręga — dochodziła do świadomości, jako wrażenie natury ujemnej: zgrzyt rozdrażnienia. Za każdym więc razem udanie się — dawało absolutne zero wrażenia, a nieudanie się — wyraźnie minusową jednostkę. Suma wrażeń, oczywiście, musiała wypaść ujemnie wbrew rzeczywistości.

Tak bywa i wśród znacznie donioślejszych przeżyć życiowych. Dodatnie mijają niedostrzeżone — nie wyczute, gasną momentalnie w pamięci; ujemne wgrzają się, wżerają w świadomość, uwieczniają się we wspomnieniach i swoim zabarwieniem nadają usposobieniu stały koloryt.

Że jednak wśród rzeszy uskarżających się lub milcząco zrezygnowanych pesymistów trafiają się niekiedy i typy zdecydowanych optymistów, wiodących za sobą świetlaną smugę radości życia — należałoby przyjrzeć się bliżej ich psychicznemu nastawieniu

i, zamiast biernie im zazdrościć, lub lekceważyć ich „naiwne złudzenia“, przeciwstawiając im własną, głęboką filozofję samoudręczenia — ocenić te sprawy krytycznie i bezstronnie.

Każdy człowiek pragnie szczęścia i dąży do niego, poszukuje radosnych wrażeń — wobec tego psychiczne nastawienie się, jako odbiornik wyłącznie wrażeń ujemnych, jest nielogiczne. Wprawdzie zasłaniamy się rzekomo poszukiwaniem poza płytkim subiektywizmem głębi prawd i ocen obiektywnych, ale i tutaj (jak z mojami kluczami!) ulegamy złudzeniu. Błędem jest zarówno usuwanie z rachunku cyfr dodatnich, jak i eliminowanie ujemnych. Jeżeli mamy wszyscy, nawet i optymiści, pewną skłonność do przeskrawiania ujemnych wrażeń (np. z wrażeń kinetycznych uświadamiamy sobie nieomal wyłącznie wrażenia ujemne: bólu, choroby, uwierań, znużenia i t. p.), to powinniśmy odnosić się do tych wyczuć z baczny krytycyzmem i zarówno w imię subiektywnego szczęścia, jak i w poszukiwaniu rzetelnej prawdy, postarać się o przywrócenie usuwanym niesłusznie i traconym z pamięci wrażeniom dodatnim należnego im prawa istnienia w naszej świadomości.

Same w sobie przeżycia — przynajmniej znaczna ich część — są bezwartościowe, beztreściwe. Treść i wartość przychodzi od wewnątrz, od człowieka, który rzutuje na fakta swoją wewnętrzną jaźń, swoją radość życia i sympatję do wszystkiego, co żyje, lub swoje cierpiętnictwo i nienawiść.

Gdyby zresztą życiowym wydarzeniom przyznać swoistą wartość niezależną, to i tak jeszcze należałoby dążyć do nastawienia się do nich tak, aby wszystko, co dodatnie, jasne, niosące radość — zatrzymywało się dłużej i uwypuklało, wyrzucając minusowe wrażenia, o ile się da, i ze świadomości i z pamięci.

Często się słyszy, że niemożliwym jest dowolne kierowanie siłą i zabarwieniem własnych afektów.

Jest to i prawda — i nieprawda.

Jest to niemożliwe, jak niemożliwym jest dla człowieka, który po raz pierwszy widzi fortepian, wygrać na nim piękną melodję, a tem mniej wykonać artystycznie sonatę Beethovena.

Ale zarazem jest to możliwe, tak, jak możliwym jest dla kogoś, obeznanego z instrumentem, wygranie na nim zasłyszanej melodji, jak możliwym jest dla artysty odtworzenie sonaty Beethovena.

Jak w jednej, tak i w drugiej dziedzinie jest to kwestja uzdolnienia, daru przyrodzonego, ale także wprawy, nawyku, pracy. A my, ludzie kulturalni, mamy pojęcia o kulturze wewnętrznej przeważnie tak naiwne, jak dziki człowiek, buntujący się przeciw twierdzeniu, że można, kreśląc czarne, zawile znaczki na papierze, przesłać nieobecnemu swe myśli i uczucia, ba! przechować je dla potomności poprzez szereg stuleci.

Zazwyczaj próbujemy opanować bieg myśli, lub uczuć własnych dopiero w chwili, gdy udręcza nas i przeraża ich wybuchowa gwałtowność, albo, nie opanowując się wcale od wewnątrz, usiłujemy, ściśle biorąc, ukrócić nie uczucia, czy myśli, tylko ich zewnętrzne objawy.

Pierwsze — poskromienie burz rozkiełzanych — jest niemożliwe, bo przechodzi zakres sił ludzkich; drugie jest jakoby działaniem wbrew naturze, która dąży, zniewala nas, popycha całą mocą do zrealizowania napięcia afektywnego w słowie, w objawie, w czynie, i, jak wszelki sprzeciw prawom natury, jest szkodliwe i wręcz niebezpieczne.

Praca nad sobą, mająca na celu: 1-o rozumne i celowe nastawienie swego psychicznego aparatu recepcyjnego tak, by nie eliminował, nie marnował, tylko odbierał i przechowywał wrażenia dodatnie, ujemne przepuszczając raczej przez luźne oka świadomości; 2-o wzbogacenie i rozbudowę wewnętrznych możliwości używania i tworzenia sobie radości, przy jednoczesnym zaniku wrażliwości na minorowe tony życia — jest pracą bardzo poważną i wymagającą tak samo umiejętnego kierownictwa, jak praca nad rozwinięciem talentu, czy sprawności fizycznej. Tu także obowiązują prawa metodyki, tu także trzeba przechodzić rozważnie i stopniowo od łatwiejszego do trudniejszego, od prostego do bardziej skomplikowanego.

Ktoś, kto nie potrafił nigdy zamknąć dowolnie książki przed końcem ciekawego rozdziału, kto nie zmuszał się stale do rozłożenia drobnych czynności dnia wedle zgóry obmyślonego planu, kto nie zdołał w czasie spokoju mówić lub milczeć, stosownie do własnego w tej mierze postanowienia — jakże może nagle zażądać od siebie samego, opanowania burzliwej namiętności lub pokierowania wedle woli biegiem swych własnych myśli?! Próba podobna jest nonsensem, tak jak nonsensem byłoby grać na fortepianie, nie mając pojęcia o muzyce. Jedynym możliwym rezultatem może tu być zniechęcenie i sfałszowanie pojęcia o możliwościach własnych.

Podobnie naraża się na zawód, rozczarowanie i moralną depresję mnóstwo ludzi, którzy nabrali przekonania, że nie jest ani dobre ani zgoła możliwe pozwalać sobie na uzewnętrznianie swoich uczuć czy myśli, natury ujemnej. Że jednak o reakcję innych ludzi potykają się oni nie wtedy, gdy wewnątrz rodzi się impuls, tylko dopiero przy jego uzewnętrznieniu — postanawiają ukrócić objaw, ale bynajmniej nie jego pra-przyczynę — afekt. Nie niszczą w sobie gniewu, tylko postanawiają: nie uderzyć; nie koja zniecierpliwienia, tylko je zamykają w sobie, nie objawiając ani gestem, ani słowem. Równa się to przykryciu szczelną pokrywą kofła, przy jednoczesnym podsyceniu ognia — aby para nie buchnęła na zewnątrz!

Wybuch następuje, groźniejszy tylko i jeszcze szkodliwszy przez to zatamowanie.

Ale przy stałej, systematycznej kulturze spokoju, uczuć sympatji, współczucia, zrozumienia — najzupełniej możliwym będzie absolutnie obojętne zachowanie się (bez odruchu *merwnętrznego* zniecierpliwienia) wobec igły, która się nagle złamała, lub nitki, która się wywlekła wśród pośpiesznego przyszywania guzika; wobec spóźnienia się na pociąg, wobec tysiadcą „irytujących“ bagatelek, które dlatego tylko są irytujące, że my się irytujemy.

Potem, po latach wprawy, przyjść może kolej na prawdziwy stoicyzm.

Podobnie, gdybyśmy sztucznie, z premedytacją nauczyli się obracać światło ślepej latarki świadomości naszej na maluczkie radości życia, odwracając je jednocześnie od tych małych, ale zjadliwych udręczeń — gdybyśmy *nie zapominali* cieszyć się, a w niepamięć puszczali sprawy smutne — mielibyśmy w sumie o wiele więcej spokoju i pogody w życiu. Tylko... nauka radości i spokoju nie jest rzeczą łatwą, ani małą...

Marja Benisławska.



WANDA ŁADZINA

(Sylwetka działaczki kulturalno-społecznej).

Opiekę nad matką i dzieckiem, oraz pracę kulturalną wśród wychodźców polskich uważa p. Ładzina za swe najmilsze zadania życiowe, tym zagadnieniom poświęca czas swój, zachęcając kobiety, aby w pracy społecznej wybrały zawsze jedną jej gałąź, najbardziej im odpowiadającą i poświęciły się jej w zupełności.

Jest to, przyznać trzeba, bardzo racjonalny punkt widzenia, wobec dzisiejszych wymagań życiowych, żądających bezwzględnej specjalizacji. Kto

wie, czy w racjonalnem rozwiązaniu tego zagadnienia nie leży sposób usprawnienia pracy społecznej, „amatorskiej“, o której tak żywa toczyła się dyskusja w „Bluszczu“. Osoby, najszczerszemi ożywione chęciami, lecz zajmujące się potrochu wszystkim, nie wielkie osiągnąć mogą rezultaty.

Pani Wanda Ładzina, Szczukówna z domu, urodziła się w Warszawie, gdzie skończyła pensję, poczem odbyła wyższe studja w Dreźnie i w Paryżu.

Wielka wojna zastała ją we Francji, wtedy p. Ładzina wstąpiła do służby sanitarnej. To dało jej sposobność poznania psychologii żołnierzy, walczących na froncie, tych wielkich mas ludowych z ich potrzebami i niedolą. Za ofiarną pracę w ambulan-sach otrzymała rodaczka nasza szereg odznaczeń.

Powróciwszy do kraju, stanęła odrazu do pracy w polskiej służbie sanitarnej, najpierw jako kierowniczka patrolu sanitarnego pod Radzyminem, potem na froncie litewskim. Za ledwie skończyła się wojna z bolszewikami, gdy wybuchło powstanie śląskie. P. Ładzina pośpieszyła odrazu na ten nowy front, niosąc pomoc powstańcom. Za tę działalność otrzymała wysokie odznaczenie: srebrny order Polskiego Czerwonego Krzyża.

W r. 1922 weszła p. Ładzina, jako posłanka, do Sejmu. Tu oddała się swej umiłowanej pracy: ochronie macierzyństwa. Wybrana do Komisji Ochrony pracy i opieki społecznej, brała wydatny udział w opracowaniu ustawy o ochronie pracy młodocianych i kobiet, referując ją na plenum sejmowem z ramienia rządu. Ustawa ta, która weszła w życie 2 lipca 1924 r., normuje higienę i bezpieczeństwo pracy, czas jej (z zupełnem zlikwidowaniem pracy noc-



Wanda Ładzina.

nej), oraz ochronę macierzyństwa. Do ważniejszych jej postanowień należy ustawa o żłobkach fabrycznych, którą ostatecznie wprowadzono w r. 1928.

Żłobki te pracodawcy obowiązani są otwierać, jeżeli w zakładzie pracuje ponad sto kobiet. Rzecz prosta, że wiele mniejszych fabryk, lub nawet z licznym personelem robotniczym, ale zatrudniających mniej, niż ustawową setkę pracownic, znalazło się poza ustawą. P. Ładzina postanowiła więc uzupełnić ustawę własną inicjatywą prywatną. W tym celu założyła w Łodzi żłobek dzienny dla niemowląt. Zakład ten ma pod swą opieką dzieci do 15 miesięcy, dzieci kobiet, pracujących poza domem. Matki, idąc do pracy, zostawiają maleństwa w żłobku, pod opieką wykwalifikowanych pielęgniarek; wracając do domu, zabierają je zpowrotem.

Oprócz tej instytucji dla najmniejszych, powstały, dzięki inicjatywie i pracy p. Ładziny, dwie inne, dla starszych dzieci: dwa przedszkola parafji Św. Krzyża w Łodzi. Jedno dla dzieci robotników, drugie dla sfer urzędniczych, oba liczące po 45 uczniów. Trzeba dodać, że dzięki niezłomowanej energii, osobistej, pełnej poświęcenia, pracy nadzorczej i dostarczaniem funduszy, instytucje opieki nad dziećmi, prowadzone na terenie łódzkim przez p. Ładzinę, mają ogólną opinię najlepiej zorganizowanych.

Jest to jednak tylko jedna część jej pracy społecznej; druga, niemniej ważna, a zakreślona na skalę o wiele szerszą, to propaganda zagraniczna, rozpadająca się niejako na dwie części swego programu: propaganda polskości wśród wychodźców i zaznajomienie zagranicy z Polską.

P. Ładzina, przebywając długi czas we Francji, zaznajomiła się tam z polskimi wychodźcami. Zrozumiała i odczuła głęboko los tych ludzi, oddanych ciężkiej, codziennej pracy, pozbawionych języka i siły moralnej, płynącej z kultury ojczystej, i postanowiła przynieść im słowo pociechy i mocy — mówić im o Polsce.

Podziw zbiera nad ogromną sumą pracy, włożonej w tym kierunku; p. Ładzina wygłosiła we Francji, Belgji i w Niemczech ogółem 369 odczytów. W liczbie tej znalazły się i prelekcje propagandowe w języku francuskim, obrazujące dla cudzoziemców życie polskie i naszą historję: o Częstochowie i innych miastach polskich, o P. W. K. Dochodzą do tego referaty na zjazdach i 171 odczytów, wygłoszonych w Pol-

sce, ogółem 540 prelekcji, przy udziale łącznym około stu tysięcy słuchaczy.

Wszystkie odczyty, całą propagandę zagraniczną zorganizowała prelegentka własnym kosztem, własnym trudem i inicjatywą, nie będąc delegatką żadnej instytucji.

Obdarzona świetną wymową, niezmiernie ujmującą powierzchownością i czarującym wdziękiem, p. Ładzina umie przezwyciężyć wszystkie przeszkody i nadać swojej akcji charakter prawdziwie poważnej i skutecznej propagandy. Prowadzi ją i w literaturze, pisząc liczne broszury, a ostatnio wydając książkę w języku francuskim: „La Montagne Lumineuse“ (Częstochowa). Jest to przepiękny zarys historyczny, nie tylko naszego, cudami słynącego klasztoru, ale zarazem i rodzaj skrótu historycznego najważniejszych faktów z historii Polski przedrozbiorowej. Książka ta zyskała duży rozgłos we Francji.

Obok tych prac naczelnych, znajduje wybitna działaczka czas na udział w stowarzyszeniach społecznych: jest jedną z założycielek i od powstania stowarzyszenia przewodniczącą Nar. Organizacji Kobiet, założycielką i czynną członkinią Koła wychowawek Szkoły Leonji Rudzkiej, opiekującego się potrzebującymi pomocy koleżankami i ich dziećmi, członkinią Tow. „Ratujmy Niemowlęta“, Tow. Opieki polskiej nad rodakami na obczyźnie. Z zagranicznych zrzeszeń, bierze p. Ładzina udział w „Union des Femmes de France“, w Czerwonym Krzyżu francuskim, w „Union des Anciens Combattants“ i w polskiej „Pomocy Oświatowej we Francji“, działalnością zblizonej do polskiej Macierzy Szkolnej.

Obrona polaków-wychodźców przed wynarodowieniem, opieka nad ich moralnością i kulturą, oraz racjonalne wychowanie ubogich, zaniedbanych dzieci, uczynienie z nich dzielnych obywateli, zamiast wyrzutków społeczeństwa — nad temi dwoma zadaniami pracuje niezłomowanie i owocnie p. Wanda Ładzina. Towarzyszy jej też w tej pracy ogólne uznanie swoich i obcych. Ojciec Święty udzielił jej odznaczenia „Za Kościół i Papieża“, z okazji zaś dziesięciolecia odrodzenia Polski otrzymała odznaczenie „Polska swemu Obrońcy“.

A obok głośnych wyróżnień, biją dla niej tysiące serc tych, którym, rzuconym daleko od kraju, przyniosła żywym słowem siłę i otuchę.

N. J.



MARJA KUNCEWICZOWA

DO WSTĘPNEJ

W hallu, przez który zawsze się bieгло, albo szło (nauczycie!), na który się splywało po poręczy, w którym ostatecznie można było stać z niepewną miną (czy wprost na boisko, czy lepiej skręcić do bufetu?), w hallu — siedziano. Rządkiem pod ścianami ławki, a na nich mamy, albo może i siostry. Uczniowie, wpadając rozmachanym krokiem, z takimi twarzami, które są naszykowane dla kolegów i dla woźnego — doznawali oszołomienia, jak kiedy wejdziesz w przeciąg. Mrużąc oczy, zmieniali postawę na cichą, nieuchwytną, mknęli w górę po schodach. Dopiero na piętrze pytali: „co jest? co za bałagan?”.

Okazywało się wtenczas: egzaminy do wstępnej.

Rzeczywiście. W ciepłych, falistych lukach między matkami tkwili malcy. Nie wszyscy byli przestraszeni. A niektórzy nagle wstawali, udając, że znaleźli się tu w sposób prosty i samodzielny, że, jak zechcą, to wogóle pójdą i nikt ich gonić nie będzie. Wszyscy trzymali w garściach rulony papieru, podobne do świec. Patrzyli na siebie podejrzliwie: czy któryś ma może prawdziwy zegarek, albo obiecali mu rower?...

Woźny przemierzał hall kilkakrotnie — stroskany i budujący. Różni ludzie zwracali się do niego; odpowiadał tak poprawnie, jakby to było dyktando. A nawet, kiedy nikt o nic nie pytał, woźny wszystkim — na boki i przed siebie — oświadczał, że „to, to już doprawdy za trudno mu wiedzieć“. Ciągłe brodził w niezliczonych trudnościach...

Wreszcie poszedł na górę, wrócił i tenorem wygłosił:

— Kandydaci do wstępnej — na trzeciej!

Uczynił się wielki popłoch. Zwłaszcza ci chłopcy, którzy myszkowali po kątach, zamiast bać się przy mamie, zbledli; widać było, że żałują własnego zuchwałstwa, które teraz może się zemścić. Matki zatrzępotały.

Tak jawnie wezbrały miłością, że stało się aż łązwo — jak w pięknych, wysokich górach. Każda szukała, coby jeszcze zrobić dla dziecka. Czesaly je, wtykały własne chustki do nosa, pachnące. Uśmiechały się; schylone, zapatrzone w oczy chłopczyków posłuszniej, niż w serca dojrzałych mężczyzn.

— Wesolo, Kaziku! Trzymaj się mój żabeczku! — mówiły.

Mali synowie tłoczyli się u podnóża schodów. Jakaś nieduża pani w czarnych jedwabiach stanęła przed nimi. Nowa pani godzin i grzeczności. Matki w najostatniejszej chwili wydobywały z torebek pióra, gumy, ołówki. Wkładały to w osłabie — przed minutą jeszcze psotne — palce. Nauczycielka oglądała z zainteresowaniem kolorowe ubranka. Które są odświętne i przez to uciążliwe, a które tak nieumyślnie noszone, że dlatego strojne. Ustawiła w pary. Klasnęła. Dwaj pierwsi — jeden w niebieskiej, drugi w różowej bluzce — zawahali się, patrząc w nieznanomy stopień. Podnieśli jednak zaraz prawe nogi i potem już cały pochód wolno zaczął wstępować na schody. Szli bardzo sztywni, ścierpnięci, chyba oczarowani. Mała osoba — z boku.

Na półpiętrze zdawać się mogło, że przystaną i spojrzą na matki. Wszystkie na to czekały, wychylone za poręcz. Nie. Patrzyli już tylko na małą panią.

Tak odeszli od matek.

MARJA PAWLIKOWSKA

WIOSNA — LWICA

*Wiosna-lwica mysurą zielone pazury
i dziką wonią kwiatów
pragnienie wyraża...
Wielkim skokiem uderza
o pręty z żelaza,
za którymi Los-strażnik
przystanął, ponury.*

*Sarknął piorun — to lwica
burzy się i złości —
błysnął maja zielenią
wzrok jej umęczony.
Na jesieni przycichnie —
Wciągnie zielne szpony,
siewając po samotnym
wybuchu miłości.*



Wiosna, lato, jesień i zima, uosobione w postaciach dzieci przez znanego rzeźbiarza Stanisława Jackowskiego.

EWA SZELBURG ZAREMBINA

M A T K A

Jasna sala przedszkola.

Na lśniącej posadzce rozsypane białe cegielki klocków. Nad klockami skupione dzieci w jednokowych, biało-różowych fartuszkach, w jednakowych czerwonych pantofelkach.

Rozsypane klocki leżą w tej chwili beczynnje. Dzieci przerwały budowę. Są jeszcze bardziej zajęte — rozmawiają.

Kto pierwszy zaczął — niewiadomo. Teraz już jedno przez drugie chwala się. Nie, nie chwala się — tylko mówią sobie, z czego są dumne, co mają tam, za ścianami przedszkola, godnego podziwu:

Mówi Romek:

— Mój ojciec ma samochód. Mój ojciec może cały dzień jeździć po mieście i kiedy chce, to trąbi!

Mówi Tadek:

— A mój ojciec jest motorniczy. Mojego ojca każdy tramwaj słucha i tam jedzie, gdzie mu ojciec każe.

— A mój tato jest posterunkowy i zatrzymuje wszystkie samochody i tramwaje! Aha! — napawa się władzą swego ojca Julek.

— A mój tatuś leczy wszystkich waszych tatusiów, bo jest doktorem w Kasie Chorych — stwierdza z wyższością Ala.

— O wa! — wrywa się Staszek — a mój tato budował ten dom, co w nim jest Kasa Chorych, bo mój tato murarz!

Nad samotnym klockiem, który upadł daleko od innych, przykucnięty mały chłopczyk w takim samym biało-różowym fartuchu, w takich samych czerwonych pantofelkach... Słucha, co mówią tamte dzieci. Słucha. Sam milczy i tylko raz po raz ściąga z wysiłkiem nikle, białe brewki.

Serce mu bije mocno, mocno, z całych sił!

I on chciałby się pochwalić ojcem, i on chciałby być dumny z ojcowej władzy i siły, ale... wiadomo, Józio Maliniak nie ma ojca.

Do piwnych oczu dziecka napływają łzy upokorzenia.

Już, już rozplacze się Józio Maliniak... A wtem, uśmiech rozpromienia chudą twarzyczkę i cieniutki głosik, nabrzmiały triumfem, obwieszca radośnie:

— A moja mama sprzedaje na ulicy kwiaty! I bez! i konwalje! i tulipany!!!

M. ZNATOWICZ-SZCZEPAŃSKA

M A T K I N A E M I G R A C J I

Jest ich moc. Setki tysięcy w samym Chicago. Tam, gdzie praca najcięższa, najbardziej codzienna i niewdzięczna, gdzie trzeba cudze kąty myć, czyjaś bieliznę prać, nieswoje śmiecie wynosić. Gdzie całymi dniami harować trzeba do upadłego, po całych nocach ślęczeć nad maszyną do szycia. Jest ich moc nieprzeliczona, tych prostych, szarych wyrobnic, pracą nad siły dobijających się lepszej doli dla dzieci.

Mówię o polskich wyrobnicach-emigrantkach. Spotykam się z nimi przedewszystkiem na gruncie własnego domu i w domach moich znajomych, gdy idzie o pomoc w grubszej robocie gospodarskiej. Jak wiadomo, służby stałej w średnio-zamożnych rodzinach amerykańskich prawie niema. Pani załatwia wszelkie prace domowe, z pomocą wziętej na godziny posługaczki. I to jest najczęstszy sposób zarabkowania kobiet-matek, bo mogą one przytem znaleźć czas jeszcze na obsłużenie własnego domu. Cóż, że często nocą? O to nikt się nie turbuje.

Patrzę na tęgą, rzeźwą jeszcze kobiecinę, z zapalem woskującą podłogę w moim pokoju. Znam jej życie — znam je tak, jakbym na nie patrzyła. Dzieckiem paroletniem, albo młodziutką dziewczynką, przywieźli ją rodzice przed laty 30-stu, 40-tu przez wody niezmierzone do obcej ziemi. Tu wzrosła, tu się wychowała. Kraju rodzinnego nie pamięta. Jednak nie inaczej żyje i myśli, jak ci, co gdzieś, hen, w rodzinnej jej zagrodzie pozostali; taką samą, jak oni, chłopską ma wymowę. Nauczyła się po angielsku, ale w sposób, rzec można, czysto mechaniczny: umie się porozumieć, właściwie jednak języka nie posiada. Zapytana o znaczenie jakiegoś wyrazu, lub o przetłumaczenie zdania z polskiego na angielski, najczęściej nie potrafi sobie poradzić. „Jak powiedzieć, to ja wiem wszystko, ale żeby składać do kupy te wyrazy, to mnie ta nie uczyli“. Często nie uczyli jej również czytać i pisać. Póki była dziewczyną, kreśliła zamiast nazwiska krzyżyk. Gdy zamąż wyszła, to stawiła dla odmiany — kółko. I jakoś się z tem wiek przeżyło.

— Teraz, to dogodności są w Ameryce po miastach: ogrzewanie centralne, woda gorąca na zawołanie, windy, łazienki, choćby w najmniejszym mieszkaniu. Ale przed laty jeszcze 20-stu, oho! wcale tak nie było! Musiał człek węgle dygować na piętro i wodę nieraz kubłami nosić, a i marznąć zimą w drewnianych, lichych domkach. I po kilka mil pieszo drąlować do roboty, lub do kościoła. Narobił się też człowiek, nabiedował, że nie opowiedzieć! Nacierpiał się i głodu, i chłodu, i poniewierki wszelakiej!

Niejednemu spalił się cały dobytek, niejeden

ostatni grosz w kieszeniach niesumiennych agentów i pośredników utopił, krwawo zaoszczędzone dolary w ciągu godziny przez głupią spekulację utracił. Ile potu, ile łez ludu polskiego wsiąknęło w to miasto olbrzymie — nikt nigdy nie obliczy. A dzieci było i jest zawsze gromadka. Tego błogosławieństwa nigdy Pan Bóg rodzinom polskim nie skąpił... Dobrze, jeżeli ojciec — człowiek porządny, zabiegliwy, nie pijak i nie rozrzutnik. W tym szczęśliwym wypadku można się było — choćby po latach harówki w rzeźni lub przy warsztacie, kawałka grosza dorobić.

Niejednemu poszczęściło się tak, że ma teraz własny wielki zakład, gotówkę w banku i jeździ automobilem. Ale gdy „father“ niedołęga lub nicpotem, albo gdy wcześniej umarł — któż miał stanąć na czele rodziny, jak nie matka? I oto legjony całe tych matek prostych, nieuczonych, a tak godnych najwyższego szacunku, tak w trudzie swym wzruszających, niby kolumny mrówek pracowitych, roją się w pracy najniższej, najemniczej. Strasznie ciężko, póki dzieci ma-lutkie w domu. Gdy podrosną do wieku szkolnego, lżej odejść na długie godziny z chałupy.

Jeśli ojca zabrała śmierć młodo lub w nieszczęśliwym wypadku, to miasto płaci rentę na każde dziecko nieletnie — 33 dol. miesięcznie. Ale wtedy matce nie wolno poza domem zarabkować. Chodzi kontrola i jeśli sprawdzi, że kobieta ma dochód z pracy własnej, to rentę odbiera. 33 dolary! Duża to suma, gdy ją przetłumaczyć na złote. Ale tu w Ameryce życie jest drogie. Za dolara dziennie można od biedy wyżywić choćby dwie osoby, ale gdzie czynsz za mieszkanie, gdzie ubranie, opał, podatek, nauka? Jako jedyny dochód, renta miejska nie wystarczy. Trzeba dorabiać. Więc matka wynajduje sobie posługę i robi pod strachem, że to wykryją. Dostaje za godzinę takiej pracy 50 ct. Licząc ogromne odległości, jakie w mieście przebywać muszą pracujący — osiem godzin wypadnie, jako maksimum czasu pracy. Jest to cztery dolary. Nie codzien i nie stale. Jeśli sąsiadki dobre, zaopiekują się pozostawionym w domu drobiazgiem. Jeśli nie — to doniosą władzom, że ta i ta kobieta ma dochody uboczne i trzeba rzucać pracę, wyjednywać nanowo zapomogę, by znów po jakimś czasie pójść ukradkiem do roboty. Bo dzieci rosną, a wraz z nimi rosną potrzeby. Nieraz już dwoje, troje starszych zarabia, a w domu jest jeszcze czworo, pięcioro małych.

A tylko wdać się w bliższą rozmowę z taką kobieciną, to pierwsze jej słowa będą: „ja haruję, ale dzieciom musi być lepiej“. Najstarszy „boy“ kieruje się na mechanika, drugi jest gdzieś na „farmie“, dziew-

czyna w „high Shool“ — będzie kiedyś nauczycielką. Młodsze wszystkie w szkole. I często, najczęściej sły-
chać z ust matki:

— Poskąpił mi Pan Bóg na jednym, ale na dru-
giem pobłogosławił, dzieci mam dobre: szanują mnie,
dziewuchy cały dom obrządzą, chłopcy oddadzą, co
zarobią.

Choćby i „niedobre“ były, to i tak będzie na nie
pracować, będzie je bronić i chronić do ostatka, bo
najsilniejszym jej uczuciem jest instynkt macierzyń-

ski. On to mnoży jej siły, dodaje inwencji, prowadzi
nieomyślnie ku najtrafniejszym rozwiązaniom cięż-
kich życiowych zagadnień, ratuje od zwątpienia, od
rozpaczy, jest jedyną jej życia prawdziwą radością
i ostoją.

Gdy Europa i Ameryka czcić będą Matkę w dniu
rozkwitającej wiosny, niech skromna postać tej po-
kornej pracownicy znajdzie się wśród uczczonych. Jej
to przecie miłość bezgraniczna i bohaterska wykuwa
lepsze jutro dla ludzkości...

Chicago, 1930 r.

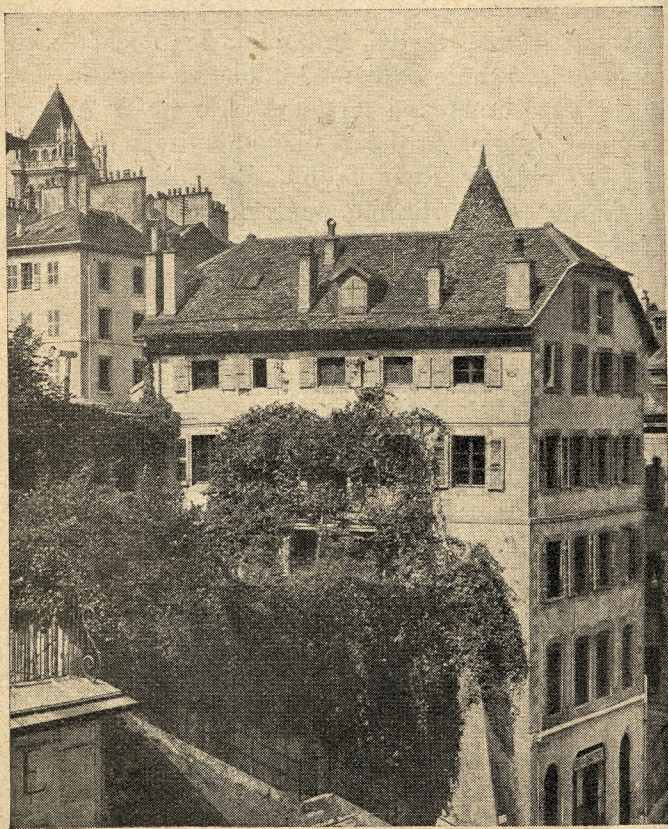
JADWIGA KRAWCZYŃSKA

DOM KOBIET WSZYSTKICH NARODÓW

Genewa, w maju.

Właśnie kwintą białe bzy, a glicynje lekką liljo-
wą okiścią zaglądały do okien, gdy z dłuższej podróży
zawijam do spokojnej przystani: Maison Internatio-
nale — Domu Międzynarodowego Kobiet przy cichej
ulicy Rue du Vieux Collège, gdzie mieści się siedziba
główna wszechświatowej Ligi Kobiet Pokoju i Wol-
ności.

Dom udziela gościny kobietom, zarówno człon-
kiniom organizacyj poszczególnych krajów, jak i nie-
stowarzyszonym.



Międzynarodowy Dom Kobiet w Genewie.

Mój śliczny żetonik z napisem „Pax“ (Pokój)
jest pewną rękojmią, że przyjmą mnie, jak swoją i na
prawach ulgowych, stosowanych do członkiń orga-
nizacji.

Od pierwszego rzutu oka czuję się zadowolona.
Na tarasie wejściowym rozkładają się w cieniu bżów
wielkie paprocie, w słońcu grządki kwiatów. W domu
jest idealnie czysto, bardzo skromnie, a w pokojach
gościennych przestronnie, bez komfortu, lecz wygodnie.
Mam pokój narożny, dużo światła, biurko z przybo-
rami do pisania; prócz szafy komodę z przepaścistemi
szufladami, w których mogłabym zmieścić trzy razy
więcej bagażu, niż go przywiozłam; głęboki, miękki
fotel. Jest tak trochę po studencku — ale jakież to
miłe wrażenie w kraju, w którym niegdyś właśnie się
studjowało!

Przy jadalnym stole (za hotel i pensjonat płaci
się tu tanio w porównaniu z cenami Genewy) spotyka
się na pięć osób pięć narodowości. Prócz mnie jest
dyrektorka domu, holenderka, pani Henriike Kuipers;
jest młoda amerykanka, miss Annie; studentka, au-
strjaczka, miły typ dziewczęcia; francuzka miała
przyjść — i zawiodła; wreszcie szkotka, z którą usi-
łuję nawiązać rozmowę po angielsku.

Język nie gra tu żadnej roli — mówi się odrazu
przynajmniej trzema. Moje zaś przybycie uczczone
jest gęstym zapytaniem: jak to i tamto po polsku
się nazywa i jak wogóle Polska wygląda? To zainte-
resowanie staje się tak gorące, że aż przeszkadza w je-
dzeniu. Likwidujemy stół i przenosimy się do czytelnicy,
która jest dużym, wygodnym salonem. Miss Annie
ma przyjaciółkę polkę, popisuje się więc szeregiem
słów i wyrażen polskich i informuje się o wiele spraw,
gdyż na jesieni wybiera się do Warszawy.

Atmosfera natychmiastowego porozumienia, za-
interesowania i sympatii wytwarza się tu z natury
rzeczy. Kobiety, które się spotkały i nigdy może wię-
cej w życiu się nie zobaczą, wiedzą przecież, że na-
leżą do jednej i tej samej gromady, związanej wspól-
nymi myślami i pracami. Łączy je wspólny stosunek
do szeregu kwestyj, a różnice poglądów dyskutowane
są otwarcie i z zaufaniem.

W ruchu pacyfistycznym, kobiety, pracujące na
rzecz zapobiegania wojnom i konfliktom międzynaro-



Dom Kobiet w Genewie od strony ogrodu.

dowym, mające przed oczyma ideał „świata bez wojny”, studujące poważnie kwestje międzynarodowe — wypowiadają się zbiorowemi protestami przeciw dalszym zbrojeniom, przeciw metodom wojny gazowej, potępiając wszelką wojnę, jako zbrodnię przeciwko ludzkości. Obecnie Liga Pokoju i Wolności ma 40 oddziałów narodowych we wszystkich częściach świata, organizuje coraz nowe tereny i przygotowuje się do szerszych wystąpień na rzecz propagandy pokoju — rozbrojenia moralnego w opinii ludów.

Podwaliny ruchu stworzyły angielski i amerykański, które ze zwykłą sobie hojnością i zmysłem praktycznym wyposażyły „Dom Międzynarodowy” i Sekretariat Generalny Ligi w Genewie.

Duszą Biura, skupiającego całokształt akcji i rozsyłającego dyrektywy na cały świat, jest sekretarka generalna Ligi, miss Mary Sheepshanks. Jej mądra i łagodna twarz, jej ujmujący sposób rozmawiania i wypowiadania się wzbudzają zaufanie.

— Pamiętam doskonale Warszawę — mówi miss Sheepshanks — byłam tam w roku 1913. Jakież to były dla was straszne czasy! Nie pozwolono mi wygłosić odczytu. Na każdym kroku czuło się za sobą cień szpiegów... straszny był ucisk rosyjski!

— Nie poznałaby pani Warszawy! wszystko się zmieniło... — i zaczynam, zapalając się, opowiadać, jak przetworzyła się psychika wolnego polaka we własnym Państwie.

— A Kraków? — interpeluje miss Sheepshanks — prawdziwe cudo i zachwyty, jedyne miasto w swoim rodzaju!

Więc znowu opowiadam, a uwagi miss Sheepshanks świadczą, jak mądrze i z jakim zrozumieniem ujmuje ona szereg zagadnień, będących dziś na porządku dziennym w Polsce, i jak dobrze jest poinformowana. Co więcej, życzliwa, jak zapewne życzliwa jest wszystkim narodom, tworzącym żywe wartości na rzecz przyszłych dziejów.

Mówimy o różnych trudnościach europejskich, więc miss Sheepshanks wzdycha:

— Ach, gdybyż to miljardy, wydawane przez

państwa na zbrojenia i wielkie armje, obrócono na rzecz kultury i oświaty!

— Przyjdzie do tego prędzej może, niż myślimy. We wszystkich krajach budzi się mocne pragnienie niedopuszczenia do dalszych wojen.

— Jest tej mocnej woli jeszcze za mało. Otoczone jesteśmy żelaznymi łańcuchami. Lecz rozbrojenia dokonają ludy, które wreszcie nie będą mogły ponosić olbrzymich ciężarów na rzecz zbrojeń i wynalazków wojennych...

— Musi to chyba przyjść współcześnie lub zmieni się organizacja na obszarze ziemi. Czyż może dziś pozbawić się obrony państwo, mające pod bokiem groźnego, od stóp do głów uzbrojonego sąsiada? Żadna może inna kwestja nie jest tak międzynarodowa... nieodzownie międzynarodowa...

Ponieważ jesteśmy w Genewie, niesposób nie mówić o Lidze Narodów, z którą Liga Pokoju i Wolności utrzymuje dobre stosunki, a wyrobienie polityczne i społeczne, powaga sekretarki generalnej sprawia, że uczestniczy ona w wielu zebraniach i przoszona jest często o opinię w różnych kwestjach, poruszanych w „Pałacu Wilsona”, lub w Międzynarodowym Biurze Pracy. Zwłaszcza, że właśnie skończył obrady Komitet Bezpieczeństwa...

Moja rozmowa z miss Sheepshanks nie była ostatnią o Polsce. Cały długi wieczór, który spędziłam w Domu Międzynarodowym, by „iść wcześniej spać”, był wypełniony ożywionym i bardzo miłym dialogiem z panią Henriike. To serdeczne zainteresowanie, jakie holenderka okazała dla naszych spraw i naszego życia, tak odrębnego od życia w jej ojczyźnie — było żywym wyrazem tego, czem jest w istocie nasze międzynarodowe zrzeszenie kobiet.

Świat jest mały — i człowiek jest tak bardzo do człowieka podobny — byle go „poskrobać”, byle nieco głębiej wejrzeć w jego radosną, czy cierpiącą duszę... Te same uśmiechy życia, te same bolączki... I czyż — mimo wszelkich różnic rasowych i kulturalnych — nie jest podobnie i z narodami? Trzeba tylko umieć przetrząsnąć się o setkę lub parę setek lat naprzód czy wstecz: panowanie, ucisk, walki o wol-

ność, kryzysy kultury, klęski ekonomiczne... W dziejach innych ludów znajdujemy odbicie dziejów własnego narodu.

Jakąś świeżą, mocną siłę daje poczucie łączności z szerokim światem, który staje się także naszym własnym; z ludźmi, których dusze i dążenia biją tym samym rytmem, co nasze własne.

Życzę wszystkim kobietom świata, by w Maison Internationale — Domu Międzynarodowym Kobiet — czuły się tak, jak ja się tam czułam: jak u siebie w domu.

SVARADŹYSTKI

Svaradża — to wolność w języku sanskryckim; w dzisiejszym ruchu niepodległościowym — to wolność Indyj.

Bohaterska postać Ghandiego fascynuje dziś cały świat cywilizowany, wszystkie pisma przepelnione są opisami jego walki, prowadzonej z rządem angielskim. Ruch ten, żywiołowe dążenie do niepodległości tak długo uciśnionego narodu, musi budzić żywe sympatje w Polsce.

Dzisiejsze powstanie hinduskie prowadzi elita inteligencji, zgromadzona wokół Ghandiego; co jest jednak bardzo znamienne, to wielki udział kobiet w tej akcji.

Cały szereg wybitnych postaci niewieścich należy do najbliższego otoczenia Ghandiego od wielu lat. Tam to przygotowywano akcję dzisiejszą.

W rządzie svaradźystek stoi żona Ghandiego, Kasturbai Ghandi, która w początkach rewolucji wzięła udział w słynnym pochodzie nad brzeg morza, po sól; drugą jest znakomita mówczyni, kierowniczka manifestacyj patryjotycznych w Bom-



Sarojini Naidu w stroju narodowym.



Mirabai — Miss Slade, pisząc, pracuje jednocześnie przy nożnym kolorotku.

baju, Kamaldevi Chattopadhyaya (której fotografię zamieściliśmy w Nr. 15 „Bluszczu”). Nie braknie w tej liczbie i rodowitej angielski, Miss Slade, która przyjęła nazwisko hinduskie Mirabai. Miss Slade wysłana została przez Ghandiego, jako agitator, do najbiedniejszych wsi, gdzie prowadziła życie ubogiej wieśniaczki, nauczając i dopomagając najskrajniejszej nędzy. Nadto szerzy Miss Slade idee Ghandiego w licznych artykułach i broszurach w języku angielskim.

Na pierwszy plan jednak wysunęła się obecnie poetka Sarojini Naidu, którą opinja świata nazywa hinduską Joanną D'Arc.

Sarojini Naidu pochodzi ze starej rodziny bramińskiej, sławnych w dziejach Indyj uczonych i poetów; karierę literacką rozpoczęła w jedenastym roku życia, pisując poezje; została sławną już jako młodzianka dziewczyna. Posiada ona wykształcenie uniwersyteckie, studjowała w Cambridge. Początkowo oddawała się wyłącznie poezji i obowiązkowi rodzinnemu, wychowując córki i syna w duchu postępowym (sama wyszła za mąż za człowieka, nie należącego do kasty braminów); z chwilą jednak wejścia na widownię Ghandiego, poświęciła się całkowicie ruchowi wolnościowemu. Już podczas zeszłorocznego kongresu międzynarodowego kobiet w Berlinie zwróciła Sarojini Naidu uwagę swemi wspaniałemi przemówieniami, występując wszędzie w narodowym stroju hinduskim; potem objechała całą Amerykę, wygłaszając przeszło 200 odczytów o Indiach i dążeniach wolnościowych hindusów.

Obecnie, gdy po aresztowaniu Ghandiego przez rząd angielski, uwięziony został prawie natychmiast wyznaczony przez niego zastępca, Abbas Tiabi, naczelną dowództwo całego ruchu objęła, z woli Ghandiego, Sarojini Naidu.

Nietrudno już odnaleźć reminiscencje z Joanną D'Arc, tembardziej, że naczelną wódz powstańców w kobiecych szatach rzucił hasło: śmierć, albo zwycięstwo!

Sarojini Naidu prowadzi akcję powstańców w okolicach Peszawaru i zapowiedziała formalny szturm do składów soli. Zdaje się, że bezkrawawa, propagowana początkowo przez Ghandiego akcja biernego oporu, bez walki, nie da się utrzymać, choć bowiem powstańcy nie używali dotychczas gwałtu, trudno, aby

wytrwali w tej formie działalności. Czy tak, czy inaczej rozwijać się będzie ruch niepodległościowy, fakt, że na czele jego, pomimo obecności tylu wybitnych mężczyzn, stanęła kobieta, naznaczona na to stanowisko przez narodowego wodza i bohatera, jest wysoce znamienne.

E. B—T.

JUBILEUSZ STANISŁAWY WYSOCKIEJ

W d. 16 b. m. w Poznaniu obchodzono uroczyste jubileusz trzydziestopięcioletniej pracy artystycznej znakomitej tragiczki Stanisławy Wysockiej. Jej młodość przypadła na moment rozkwitu polskiego neoromantyzmu. Dała mu ona najwznioślejszy odpowiednik w swoich kreacjach scenicznych.

Wysoko nosła sztandar wielkiej poezji w teatrze. Odtwarzane przez nią bohaterki Słowackiego, Wyspiańskiego, Szekspira, Ibsena, Strindberga — to szereg postaci niezapomnianych, w majestacie tragizmu nieprześcignionych.

Stanisława Wysocka jest wyjątkiem wśród współczesnych artystów w dziedzinie kultu słowa rytmicznego. W jej ustach wiersz jest naprawdę poezją, nie prozą rymowaną. Głęboko przemyślane zasady sztuki scenicznej starała się zaszczerpieć rzeszy uczniów i uczennic, kształcących się w jej szkole.

Ostatnio grała rolę Babki w „Domu Kobiet“ Nałkowskiej. Na jubileuszowym przedstawieniu odtworzyła pełną ciepła i romantycznego uroku postać starej księżnej w „Świecie nudów“ E. Paillerona.



Stanisława Wysocka.



TEATR WIELKI.

„Konrad Wallenrod“ — Władysława Żeleńskiego.

To pierwsze dzieło operowe Żeleńskiego ma lat 45 i powstało w momencie przełomu, kiedy tradycje „wielkiej opery“ w stylu włoskim zaczęły zapadać w mrok, a cały świat muzyczny olśniony został wschodzącym słońcem Parsifala. Jeżeli w „Konradzie Wallenrodzie“ da się odnaleźć jakiś wpływ Wagnera, to chyba raczej w wyborze tematu libretta, niż w stronie muzycznej dzieła. Echem wagnerowskiego pomysłu pobrzmiwa również turniej śpiewaczy w 3-im akcie.

Jeżeli wziąć pod uwagę ówczesną skalę możliwości Żeleńskiego, to wybór tematu bohaterskiego, i to arcydzieła poezji romantycznej, nie wyszedł mu na dobre. Siły nie sprostały zamiarom. Urodzony liryk napróżno starał się zdobyć na akcenty tragiczne. Niewspółmierność wysiłków muzyka z potęgą poety musiała się skończyć klęską pierwszego.

Przytem autor libretta pozwolił sobie na rażące odstępstwa od tekstu Mickiewiczowskiego, które nie są zgola usprawiedliwione koniecznością sceniczną, a niepotrzebnie kaleczą i fałszują intencję poety. U Mickiewicza Konrad po pożegnaniu się na ojczyźnej ziemi z Aldoną nigdy już nie widzi jej twarzy. Rozmowy z pustelnicą na wieży mają charakter nawskroś idealny, oderwany od świata uczuć ziemskich.

Tymczasem w operze Aldona w stroju zakonnym spotyka się w kościele z Konradem, już obranym na wielkiego mistrza. Duet miłosny dwojga kochanków przerywa nadejście Halbana i Arcykomtura. Typowe in flagranti. Aldona, dla ocalenia Konrada, błaga, żeby ją zamurowano w wieży. Cała ta scena razi drastycznym ujęciem i dla dobra sztuki powinna być przerobiona w myśl założeń mickiewiczowskich.

Wznowienie opery, dziś mającej już tylko retrospektywne znaczenie, połączone zostało z dwudziestopięcioletnim jubileuszem Ignacego Dygasa, który odtwarzał partję tytułową. Miał w niej duże pole do popisu aktorskiego i możność oszczędzania materiału głosowego. Śpiewak-jubilat nie napracował się w tej roli. To było jedyną jej dobrą stroną. Głos pani Lípowskiej pięknie brzmiał w partji Aldony. Michałowski dał poważną i głosowo mocno postawioną sylwetkę Halbana. Chóry pod dyrekcją Sillicha dawały dużo zadowolenia muzycznego.

Całość była wyreżyserowana starannie, ale bez temperamentu. Tańce w scenie uczyły, jako mimiczny obrazek porwania branek przez tatarów, wniosły pierwiastek barwności i ruchu w akcję dość jednostajną i ponurą, ale związane z nią były całkiem przypadkowo.

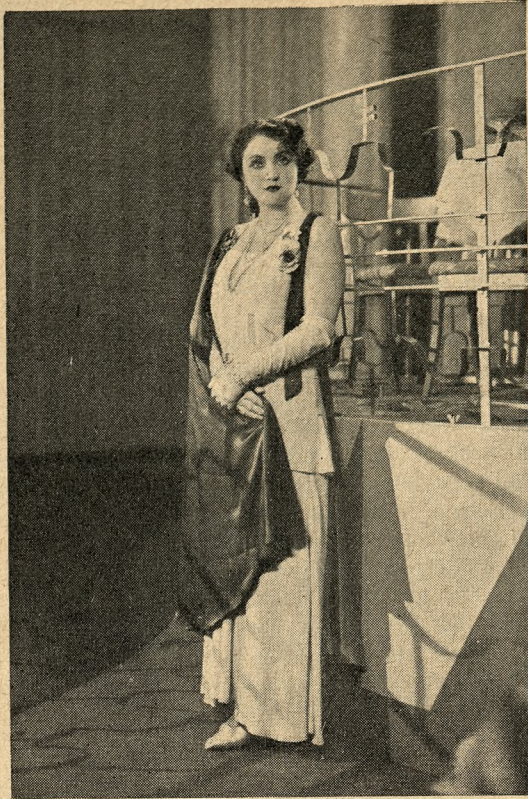
Opera już na drugim (premjerowym) przedstawieniu była przyjmowana chłodno przez nieliczną publiczność. Powinno to być wskazówką dla dyrekcji, że z dorobku polskich kompozytorów wybierać należy dzieła najlepsze.

S. P. O.

TEATR POLSKI.

„Słaba płeć“ — komedia w 3-ach aktach Edvarda Bourdeta. Przekład Włodzimierza Perzyńskiego. Reżyserja Karola Boromskiego. Dekoracje Stanisława Słimińskiego.

Zmierch komedji francuskiej. I jaki brzydki zmierzch! Zamiast słońca, zapadającego w morze, okopcona latarka, sygnalizująca tonięcie. I jest to nawet zgrzyt satyry: ten sygnalizator —



Leszczyńska-Panciewiczowa jako Krystyna w komedji „Słaba płeć”.

to młaśnięcie językiem o podniebienie, które ma już doszczętnie zdegenerowany smak.

Każdemu tematowi, choćby najdrażliwшему, można dać właściwy wyraz artystyczny bez uciekania się do groszowych, jarmarcznych efektów. Autor „Słabej płci” miał przed sobą temat ciekawy, społecznie szeroko zakorzeniony, bogaty w psychologiczne możliwości, uposażony z natury rzeczy w tragikomizm sytuacji życiowych. Pociągnęła go taniać, skusiła tandeta. Z zagadnienia zrobił maskaradę. Odwrócił role płci w grze miłosnej.

Ta metamorfoza jest czysto mechaniczna; ma się wrażenie, że autor poprostu poprzesztawiał nazwiska i prz przemieniał kostjomy męskie na kobiece i odwrotnie. Rezultatem takiego uproszczonego systemu jest groteskowość sytuacji, budząca raczej wrażenie obrzydliwości, niż komizmu. Gnیلne wyziewy rozkładu buchają z tego międzynarodowego targu małżeńskiego i nie małżeńskiego, na który sprytnie mamy przywożą swoich synów-lalusiów (tak, jak się to kiedyś robiło z córkami), aby zapewnić im karierę życiową przez bogaty ożenek.

Szczytem niesmaku jest scena końcowa między dwojgiem dzieci, w której chłopczyk, naśladowując starsze pokolenie, mówi, że nie pójdzie bawić się z dziewczynką, jeżeli ta nie da mu pięciu franków. Scena ta, urągająca najprostszym zasadom pedagogicznym i estetycznym, powinna być bezwarunkowo opuszczona.

Sztuka stoi właściwie jedną rolą: mistrzowsko zrobioną przez Maszyńskiego sylwetką starego fagasa Antoniego. Zresztą szkoda wysiłku pozostałych aktorów na to, żeby pokryć świetnym haftem artystycznym szmatę moralną. S. P. O.



Z KSIĄŻEK

Emil Ludwиг: „Europa we krwi”. — Z upoważnienia autora przełożył Marceł Tarnowski. — Instytut Wydawniczy „Renaissance”.

Scisłe ustalenie przyczyny wybuchu wojny światowej i odpowiedzi na groźne pytanie: „kto winien” — należy do trybunału Historji. Trybunał ten pracuje bardzo skrupulatnie i powoli, ale też wyroki, przezeń wydane, mają pretensje do nieomyślności.

Przed wojną światową przeważało przekonanie, że wydarzenia terażniejszości, z natury rzeczy przesyconych społecznymi prądami, nie sposób ogarnąć w całokształcie bez pewnej perspektywy w czasie. Historycy-fachowcy, pracujący nad historją bieżącą, zdają sobie sprawę, iż prace ich, zmusne i drobniagowe, bez względu na zakres tych prac, będą tylko drobną cegiełką we wspaniałym gmachu historycznej prawdy.

Z innych założeń wychodzi Emil Ludwиг, autor „Europy we krwi”. Uważa on, że, opierając się na dokumentach autentycznych, można nie tylko wydawać apodyktyczne sądy o ich autorach, ale nawet odtwarzać ich poglądy i sposób myślenia.

Z historją, tak ujętą książka niewiele ma wspólnego. Istotne pozostaną dokumenty, wszystko inne zaś, jako pochodzące od autora, przejść musi ogniową próbę prawdy i logiki historji.

Niezależnie od tego, praca Ludwiga jest niezwykle interesująca. Skrupulatne i pracowite zebranie wielkiej ilości dokumentów, bystrość i prostota argumentacji, doskonały styl i świetne ujęcie konstrukcyjne, sprawiają, że czytelnik uzyskuje przejrzysty obraz skomplikowanych zdarzeń z lipca 1914.

Jeśli obraz ten nie jest najzupełniej prawdziwy, to w każdym razie bardzo zbliżony do prawdy. To samo trzeba powiedzieć o przeprowadzanej przez autora tezie, że winę wybuchu wojny światowej ponosi cała Europa, w szczególności ówczesna jej dyplomacja, a nie poszczególne państwa. W interesie zgodnego spółzycia narodów nie nie szkodzi, że czytelnik uwierzy w to twierdzenie, choćby historja miała mu kiedykolwiek w przyszłości zaprzeczyć. L. N.

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE”

Gunnar Gunnarson: „Saga Islandzka” — powieść, przełożył L. Staff.

Leo Belmont: „Śmierć Messaliny” — powieść.

KSIEGARNIA ŚW. WOJCIECHA.

Ks. Bross: Pius XI o akcji katolickiej.

X. R. Maeder: „Katolikiem jestem!”.

Maurice Laurentin: „Miłość Poncjusza” — powieść, przekład Zofji Zakrzewskiej.

Henri Bordeaux: „Miłość ucieka” — dwie nowele. Sylwetkę skreślił Zdzisław Dębicki.

Wanda Milaszewska: „Cmentarz i sad” — powieść, wydanie II.

Wanda Milaszewska: „Młyn w Bożej Woli” — powieść.

James Oliver Curwood: „Bari, syn szarej wilczycy”.

S. Jeleński: „O siódmej godzinie” — opowieść ewangeliczna.

Kobieta w świecie i w domu

DZIEŃ MATKI W WARSZAWIE

W ostatnim tygodniu maja, miesiąca kwiatów i wiosny, Koła młodzieży Czerwonego Krzyża organizują „Dzień Matki”. Jest on jakby dniem imienin wszystkich matek, którym wdzięczne dzieci składają wyrazy swych uczuć, kwiaty i drobne upominki.

Na „Dzień Matki” wybrano w tym roku 25 maja; w dniu tym odbyła się pod protektoratem pani Prezydentowej Mościckiej uroczysta akademja w sali Filharmonji warszawskiej.

WAŻNE DLA RODZICÓW I WYCHOWAWCÓW

Zgodnie z rozporządzeniem p. Prezydenta Rzeczypospolitej, małoletnim, t. j. młodzieży przed ukończeniem 21 lat życia, wzbroniony jest wstęp na sale sądowe dla przysłuchiwania się procesom karnym; obecnie prezesi sądów okręgowych wydali specjalne przypomnienie o najsurowszym przestrzeganiu tego przepisu. Postanowienie to jest niezmiernie ważne. Obok niewłaściwej lektury kryminalnej, jednym z najniepożądanych obyczajów jest wtajemniczanie się młodzieży w różne męty życia na sali sądowej.

Z KOŁA PRACY KOBIEC

Na zebraniu, odbytem dnia 16 maja r. b. wybrano, jako przewodniczącą, po śmierci ś. p. Józefy Klawerowej, założycielki i długoletniej przewodniczącej Koła Pracy Kobiec, p. Helenę z Klawerów Wolską.

BRAWO, PILOTKI!

W maju b. r. odbywały się w Bezmiechowej na Podkarpaciu loty szybowe członków Aeroklubu i Związku Awiatycznego słuchaczy politechniki ze Lwowa. Dokonano stu kilkudziesięciu lotów na dwóch szybowcach, konstrukcji Wacława Czerwińskiego.

W lotach szybowych po raz pierwszy w Polsce brały udział, latające dotychczas na aparatach silnikowych, dwie pilotki: panie Wanda Olszewska i Danuta Sikorzanka.

DZIEWICZA MOWA

Poślanka Izby Gmin, Miss Megan Lloyd George (córka znanego polityka) zabrała poraz pierwszy głos na plenum Izby. Ta „dziewicza mowa” wywołała zrozumiałe zainteresowanie. Poza sensacją jednak ma ona poważniejsze znaczenie. Miss Lloyd George przemawiała w sprawie nowego Billu „mieszkaniowego”. Mówczyni stwierdziła, że podjęcie budowy nowych domów na wielką skalę przez rząd jest sprawą palącą, zwłaszcza w zastosowaniu do mieszkających pracowników rolnych, najniższej płaczonej w sferze robotniczej. Warunki mieszkaniowe tej klasy są bardzo złe, rezultaty ich zatrważające. W okręgu wyborczym

młodej posłanki niezmiernie wysoki procent kobiet choruje na gruźlicę. Kobiety silniej cierpią wskutek złych warunków mieszkaniowych, spędzają bowiem więcej czasu w domu, niż mężczyźni; tak samo, lub gorzej, warunki te odbijają się na dzieciach.

Wprowadzenie prawa mieszkaniowego wpłynie też korzystnie na stan bezrobocia.

Mówczyni, która talent oratorski odziedziczyła widocznie po ojcu, składano owacyjne życzenia; posłanka lady Iveagh wyraziła Miss Lloyd George szczerą radość koleżanek, którym przybyła dzielna siła pomocnicza w ich pracy.

CZY TO ABY MOŻLIWE?

Dochodzą nas wieści, że w Warszawie powstało stowarzyszenie pod nazwą: Liga walki z kobietami w urzędach! Inicjatorzy tej znacznej organizacji twierdzą, że praca kobiet w biurach jest niewiele warta, pomimo to (to ciekawe!) konkuruje owocnie z pracą mężczyzn, pozbawiając ich posad.

Liga zamierza rozesłać wezwanie do biur, aby przyjmowały tylko mężczyzn na wolne posady.

Miejmy nadzieję, że ta organizacja nie znajdzie zbyt wielu zwolenników, a może, wzamian za utraconą posadę, Liga potrafi wynaleźć zredukowanej urzędniczej znacznej i dobrze zarabiającego męża?

KRÓLOWA MAJA

Młodzież uniwersytetów amerykańskich święci miesiąc maj licznymi obchodami i zabawami; studenci wybierają „króla”, studentki „królową” maja, którzy przewodniczą na uroczystościach. Rycina nasza przedstawia Miss Elinor Best, królową Wellesley College w stanie Massachusetts.



Miss Elinor Best, studencka królowa maja.



Miss Lind i ks. Hamilton.

PRZYJACIÓLKI ZWIERZĄT.

Anglja liczy najwięcej może protektorów i miłośników zwierząt. W ruchu tym przodują kobiety, rozszerzając go, jako propagandę międzynarodową. Obecnie dwie pionierki opieki nad zwierzętami, Miss Lind of Hageby i księżna Hamilton, podróżują po Europie, wygłaszając odczyty. W Genewie istnieje międzynarodowe biuro opieki nad zwierzętami, którego Miss Lind jest jedną z założycielek; ona również podczas wojny powołała do życia w Paryżu czerwony krzyż dla ratowania ranionych w bitwach koni i szpital dla ich leczenia. Obie panie, wraz ze wszystkimi zresztą stowarzyszeniami, w tym duchu działającymi, występują gorąco przeciwko wiewięceki zwierząt.

GÓRĄ NAUKA GOSPODAROWANIA!

Doniosła dla kobiet i życia domowego decyzję powziął ostatnio rektorat uniwersytetu w Chicago: utworzenie *wydziału gospodarstwa domowego*. Na nowy wydział złożą się liczne katedry, jak: higiena, estetyka wnętrza, oraz wszystkich gałęzi gospodarstwa domowego; kucharstwo z uwzględnieniem założeń dietetyki nowoczesnej, chemja, cukiernictwo, fabrykacja konserw, a także porządki domowe z uwzględnieniem towaroznawstwa; mechanika i fizyka (zastosowanie elektryczności w gospodarstwie domowym). Wydział obejmie 8 semestrów, kurs 4-letni, jak na wydziale prawnym. Po egzaminach, absolwentki otrzymują stopień „doktora gospodarstwa domowego”.

ZATRWAŻAJĄCE WIEŚCI.

Depesze dzienników doniosły w tych dniach, że policja argentyńska wykryła znów szajkę handlarzy żywym towarem, której głównym terenem operacyjnym była Polska. Sprowadzano do Argentyny od nas do 200 *dziewcząt rocznie*. Obecnie aresztowano 9 przywódców bandy, można jednak być pewnym, że niedługo powstanie nowa, gdyż władze argentyńskie nie mogą widać same unieszkodliwić bandytów, zwrócili się bowiem, za pośrednictwem swego poselstwa o pomoc do rządu polskiego, prosząc o wzmocnienie obostrzeń przy kontroli dziewcząt, wyjeżdżających zagranicę.

Kobiety powinny z całą energją zabrać się do walki z tą ohydą. Zjednoczyć do niej wszystkie siły stowarzyszeń, wprowadzić tę sprawę do Sejmu tak, aby nie schodziła z jego obrad, dopóki nie ujrzymy widomego ich rezultatu w postaci wyplenienia tej strasznej zarazy. Na pierwszy plan działalności po-

winno iść wydatne zwiększenie kadr policji kobiecej, która skuteczniej od innych organizacyj walczy z tą plagą naszych czasów.

POMNIK DLA KOBIECI.

Związek pamiętek powojennych w Austrii postanowił wzniesić wielki pomnik, poświęcony czei żon i matek tych, którzy walczyli w czasie wielkiej wojny. Ofiarność kobiet, ich niewypowiedziane cierpienia, doznawane w chwili śmierci, lub ciężkich ran mężów i synów, zasługują na upamiętnienie. Pomnik wzniesiony zostanie w okolicach Salzburga.

POMÓŻCIE POLAKOM NA OBCZYŻNIE.

„Tow. Opieki Kulturalnej nad Polakami, zamieszkałymi zagranicą, im. Adama Mickiewicza”, powstałe w 1922 r., ma za zadanie, krzewienie i popieranie działalności kulturalno-oświatowej oraz rozwoju uczuć narodowych wśród polaków, zamieszkałych zagranicą.

Specjalną opieką otacza Towarzystwo polaków i ich szkolnictwo w państwach ościennych, a mianowicie na Łotwie, Litwie, w Rumunji, Czechosłowacji i w Gdańsku.

Że opieka ta jest potrzebna, świadczą o tem tysiące dzieci polskich w państwach ościennych, pozbawionych polskich szkół i polskich książek. Ludność polska, słaba gospodarczo, walczyć musi na każdym kroku o swoje prawo do życia, o możność swobodnego kulturalnego rozwoju.

Dość przytoczyć, że na około 80.000 polaków na Łotwie, czynnych jest zaledwie 30 klas polskich, że niema polskiej szkoły rolniczej, chociaż posiadają ją inne narodowości, mniej silne liczebnie.

W Rumunji istnieje zaledwie kilka szkółek polskich, i to prywatnych, na blisko 90.000 naszych rodaków. W Czechosłowacji wznoszone są niemal luksusowe gmachy szkół czeskich, wyposażone w najnowsze urządzenia i pomoce, aby przyciągnąć polskie dzieci.

O Litwie nie trzeba mówić, bo zbyt dobrze znamy martyrologję zamieszkałych tam polaków.

Ale, mimo to, ci nasi wygnańcy nie upadają na duchu, lecz pracują, organizują się, skupiają i trwają w swej narodowości.

Towarzystwo im. Adama Mickiewicza może się poszczycić do chwili obecnej poważnymi rezultatami. W ciągu ubiegłych lat wysłało przeszło 60 tysięcy książek polskich na różne tereny oraz wyasygnowało przeszło 2.100.000 zł., nie licząc sum w mkp.

Jednak rosnące ciągle potrzeby wymagają coraz to większych ofiar, na które musimy się zdobyć.

Społeczeństwo polskie musi docenić znaczenie rodaków, przebywających w licznych skupieniach tuż za naszymi granicami, i przyjść im z odpowiednią pomocą.

Tow. im. A. Mickiewicza zwraca się do wszystkich o pomoc i współpracę, a zwłaszcza do kobiet polskich, które najlepiej zrozumieją matki polskie na wygnaniu, nie mogące posłać swych dzieci do polskich szkół.

Do kobiet polskich udaje się towarzystwo o współpracę i kontakt, o zapisanie się na członków Towarzystwa. Składka miesięczna wynosi tylko 1 zł. Przyjmuje się wszelkie dary, zwłaszcza książki beletrystyczne, czytanki szkolne, obrazki, pisemka dla dzieci, zabawki i t. p.

Adres: Warszawa, Ordynacka 5 m. 5, tel. 90-94.

Konto P. K. O. Nr. 19.160.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

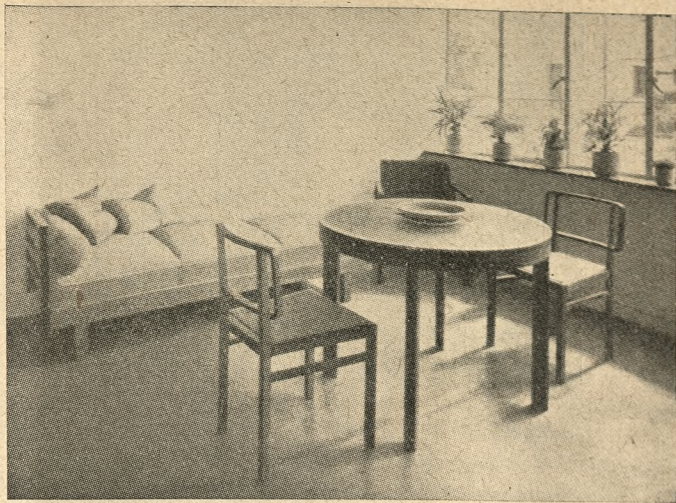
G. Z. Z łaskawie nadesłanej noweli nie skorzystamy.

NOWOCZESNE MIESZKANIE

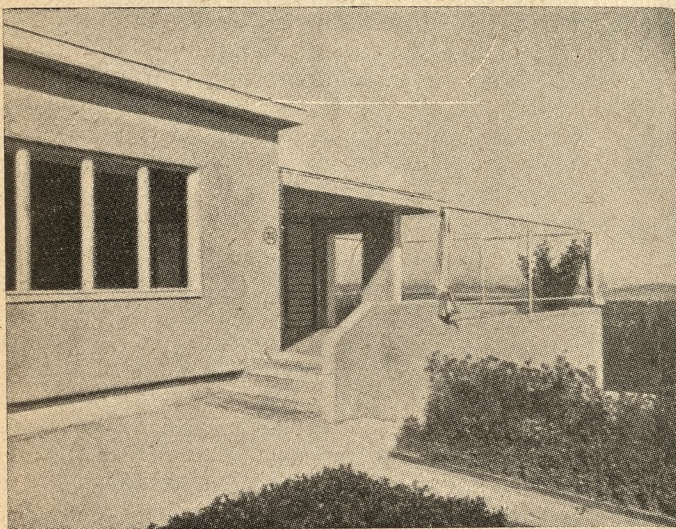
Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że nowoczesne mieszkanie jest zupełnie niepodobne do mieszkań, budowanych i urządzanych na starą modłę.

Na czym jednak polega ta różnica i jakie zalety posiada nowoczesne mieszkanie, by tyle o niem pisać i mówić, tyle próbnich kolonij budować i demonstrować światu na kongresach i wystawach nowe idee, wcielone przez duch czasu w nasze ciche, spokojne mieszkanie?

By móc dać odpowiedź na te pytania, trzeba zanalizować strukturę nowego mieszkania i jego urządzeń. Da to nam nie tylko znajomość rzeczy, lecz zarazem nauczy, jak zaprowadzić w naszych starych mieszkaniach nowy ład, prostotę i wygodę, która tak



Pokój jadalny i zarazem mieszkalny (Innen Räume).



Nowoczesny dom otoczony zielenią. (Bau und Wohnung).

wybitnie znamionuje nowe mieszkania i daje mieszkańcom tyle swobody i uroku!

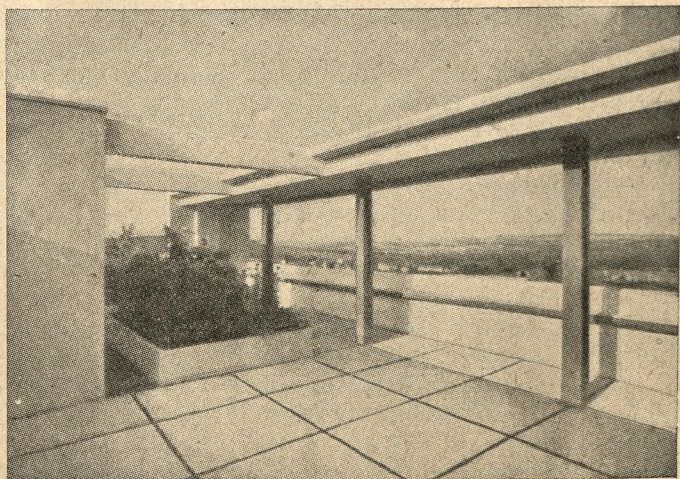
Musimy się zgodzić, że człowiek, który zdobył nowe mieszkanie, jasne, słoneczne, o rozległym widoku, mieszkanie, wyposażone we wszelkie inwestycje i urządzenia, ułatwiające bytowanie i korzystanie z rozrywek kulturalnych — wyzwolił się wielce.

Wyzwolenie to ujawnia się nie tylko w zewnętrznym wyglądzie domów, o jasnych, pogodnych elewacjach i wesołym zadrzewieniu ogródków i tarasów, lecz wyraża się również w urządzeniu samego mieszkania.

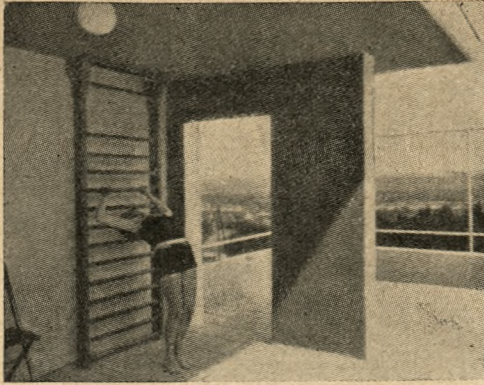
Wszystko, co zbyteczne, zostało z niego usunięte; rzeczy mniej potrzebne i rzadziej używane umieszczono w szafach ściennych, w schowankach gospodarczych. Rzeczy potrzebne nabrały istotnej wagi, zyskując sobie miejsce nawet w najmniejszym mieszkaniu. Poza tem przyznano wszystkim sprzętom i meblom użytecznym prawo do piękna, lecz piękno to jest innej natury. Prawidłowa proporcja, harmonijna barwa, przy zachowaniu jaknajwiększej prostoty przedmiotu, służącego ku wygodzie — cechuje nowoczesne meble i sprzęty.

Potrzeba przyozdabiania każdego sprzętu, w celu nadania mu cech piękna, i dążenie do posiadania sprzętów stylowych, uświęconych tradycją, zanika w naszym życiu codziennym. Starotypowe mieszkania, urządzone podług wszelkich dawnych prawideł, stopniowo tracą urok. Przestają nas bawić salony w mieszkaniach prywatnych, zapełnione obrazami, które są zbyteczne, skoro mamy galerje i wystawy obrazów. To samo dotyczy pokoi jadalnych, w których osiadły na stałe kredensy gdańskie i wystawione zostały na pokaz serwisy i platery. Większy wybór znajdziemy w muzeach i domach sztuki... Pokoje sypialne, zawieszane firankami, portjerami i różnymi gobelinami, ciążą nam. Wystawy sklepów specjalnych dają większą różnorodność tkanin... Kuchnia zaś, dotychczasowy przybytek garnkotłuka, odstrasza nas swym brudem i odaleniem od pozostałego mieszkania.

Człowiek nowoczesny zna i docenia swe potrzeby życiowe; pamięta o nich dobrze, urządając swe mieszkanie podług tych potrzeb, odrzucając wszelki balast, który dużo kosztuje i ciąży w życiu codziennym.



Na tarasie w skrzyniach można mieć mały ogródek.



Gimnastyka na tarasie. (Bau und Wohnung).

Dzięki temu, w nowym mieszkaniu człowiek wygodnie śpi, je, odpoczywa, pracuje i inaczej odczuwa swe życie codzienne.

J. Ginett-Wojnarowiczowa.

„NASZE POGOTOWIE“

Źle ubrana, zabiegana, wiecznie chora na chroniczny brak czasu, pani Pola była uosobieniem dobroci i żywą skarbnicą wszelkich pożytecznych wiadomości i praktycznych rad. Krewni i znajomi przeważali ją „Nasze pogotowie“. Zjawiała się wszędzie, gdzie tylko zachodziła potrzeba. Złote swe serce oddawała wszystkim, a doświadczonego rad udzielała z pogodnym uśmiechem. Wyświadczała tem nieraz wiele dobra, ale zdawała się zupełnie nie doceniać tego, co robi.

Nikt nigdy nie mógł zrozumieć, skąd wystarczało jej czasu na pracę zawodową, na posiedzenia w licznych organizacjach społecznych, w których brała czynny udział, na zdobywanie wiadomości z wszelkich dziedzin życia intelektualnego i praktycznego i wreszcie — na tyle przysług, wyświadczanych innym.

Pewnego razu przyszła nareszcie do domu, zastawiając się, od którego protokołu zacząć wieczorną, społeczną robotę. Stara Antoniowa referowała jej jakieś domowe sprawy, podając kolację. Nagle i niespodziewanie zadzwieczał dzwonek w przedpokoju.

I zaraz wpadła zdyszana Stefa, młoda mężatka, siostrzenica pani Poli.

— Stefcu! droga! Cóż cię sprowadza do mnie o tej porze?

— Daruj mi, ciociu, tę niewczesną godzinę. Korzystam z tego, że Zdziś ma jakieś posiedzenie i wpadłam. Bo, widzisz, jakoś te posiedzenia i konferencje mnożą się u niego bardzo szybko i to mnie zaczyna napępniać obawą.

— Czyżbyś myślała, że Zdziś staje na progu obojętności małżeńskiej?

— O, nie, ciociu, tego nie przypuszczam! — zawołała gorąco półroczna mężatka. — Ale, widzisz, coś jest niedobrze.

Z właściwą sobie bystrością umysłu i zdolnością naracyjną zaczęła opowiadać. Kochają się bardzo, rozumieją się doskonale, aczkolwiek ona jest doktorem filozofji, a on inżynierem. Znają się przecież tyle lat!

Zajęci pracą zawodową, spotykają się przy obiedzie. I wtedy zaczynają się przykrości. Zdziś jest systematyczny, porządny. Przy sprzątaniu porozrzucają mu papiery, które potem musi długo segregować. Służąca zapomina nazwisk telefonujących osób. A często — to ważni interesanci. Menu obiadów i kolacyj jest jakieś monotonne. Ona, Stefa, pracuje wprawdzie tylko 3 godziny dziennie, ale dziwnie nie umie sobie z domem poradzić. Ma dobrą służącą, ale widzi, że jednak nie jest u niej w domu tak, jak było w domu rodziców, ani tembardziej w domu rodziców Zdzisia. Tam idzie wszystko jakoś nadzwyczajnie i ślicznie. Chciałaby też coś zmienić, ale nie wie, jak się do tego wziąć. Wstydzi się przyznać, że wielu rzeczy nie umie. A czuje, że tu leży przyczyna różnych, zaledwie uchwytnych skrzywień Zdzisia. On tak bardzo lubi dom, tyle rzeczy go interesuje, tyle kupuje nowych ulepszeń do domu! cóż, kiedy Jagusia nie umie się z tem obchodzić.

Pani Pola słuchała spokojnie tego rwącego potoku słów, patrząc uważnie na młodą, śliczną twarz siostrzenicy. Widziała jej szczere zmartwienie, czuła głębokie przywiązanie do męża. Patrzała na nią z wyrozumiałym i mądrym uśmiechem.

— Przedewszystkiem, Stefcu, nie należy się nigdy wstydzić, że się czegoś nie umie. Tyś chyba najlepiej wiedzieć powinna, że uczyć się trzeba zawsze i stale. Naucz się gospodarstwa i prowadzenia domu.

— Ależ, ciociu, ja nie miałabym czasu na chodzenie na kursa.

— Moje drogie dziecko, można nie mieć czasu na chodzenie na kursa, ale na uczenie się w domu napewno znajdziesz godzinę dziennie. Zapisz się na Korespondencyjne Kursa Gospodarstwa Domowego, zorganizowane przez Tow. Wyd. „Bluszcz“. Podzielone są na XIV działów. Obejmują wszystkie dziedziny życia domowego. Co dwa tygodnie dostaniesz zeszyt z serją wykładów. Przeczytasz je uważnie, przemyślisz, porobisz spokojnie notatki i poczekasz parę dni na następną. Naturalnie, wszystko, czego się nauczysz, musisz zaraz praktycznie stosować w domu. Możesz i powinnaś robić własne obserwacje i wiele rzeczy indywidualizować. Będiesz jednak miała fundament, na którym się oprzesz.

— Ależ, ciociu, to cudowne! Zaraz jutro zapiszę się na Kursa Korespondencyjne.

Pogawędziwszy jeszcze dosyć długo, piękna Stefca pożegnała przezacne „pogotowie“.

W parę miesięcy potem pani Pola, usadowiona wygodnie w klubowym fotelu w gabinecie Zdzisia, popijając doskonałą czarną kawę, słuchała uważnie wynurzeń pana domu, podczas chwilowej nieobecności Stefy.

— Nie uwierzysz, ciociu, jak się od jakiegoś czasu Stefa zmieniła. Ciągłe czyta w sekrecie przede mną Korespondencyjne Kursu Gospodarstwa Domowego, robi notatki, odrabia zadania. No, ale dom zmienił się do niepoznania. Był czas, kiedy raziło mię i drażniło tysiąc rzeczy. A dziś...

— Dziś rozkoszujesz się posiadaniem wzorowej gospodyni — zauważyła pani Pola.

— O, to, to jeszcze nie! Wiem, że z czasem to będzie z pewnością. Stefa zrozumiała, czym jest miły, dobrze zorganizowany dom dla dwojga żyjących, kochających się ludzi. Wie teraz, że to jest jedyne miejsce na świecie, gdzie człowiek może być naprawdę sobą. Wiele gawędzimy na temat przywiązania angli-

ków do swego home'u. I chcemy sobie taki swój stworzyć. Ale zaraz... — Zerwał się i dobył z biurka jakieś rysunki.

— Patrz, ciociu: to wzór biblioteczki, którą kazałem zrobić dla Stefy na imieniny. Zakupię jej całą serję podręczników „Życia Praktycznego“, ułożę według działów i postawię w pokoju podczas jej nieobecności. Cieszę się już tak bardzo myślą o jej radości, że wprost dnie liczę do jej imienin.

Pani Pola słuchała z właściwym sobie, dobrotliwym uśmiechem. Nakoniec odparła, powstając.

— Czas na mnie. Z taką radością patrzę na was. Mało, niestety, jest małżeństw, które rozumiałyby doniosłość i ciepło własnego domu. Jeszcze mniej takich, w których mężczyzna interesuje się domem, lubi go i dba o niego, wkładając weń, prócz pieniędzy, przywiązanie, zainteresowanie i pewne udoskonalenia.

— Moja ciociu! czas, ażeby mężczyźni zrozumieli, że nietylko w pracy zarobkowej muszą się liczyć ze współzawodnictwem kobiet. Nie wolno im lekceważyć znaczenia domu i najdroższej własnej przystani. Potrzeba nam nietylko wykształconych fachowo pań domu, ale i uświadomionych na tem polu panów.

— Mój Zdzisiu, gdybyż to wszyscy mężowie mieli takie poglądy, jak ty! Napewno byłoby mniej złych małżeństw — westchnęła pani Pola.

— Zapewne. Ale, gdyby nie „nasze pogotowie“, które skierowało Stefę na właściwą drogę solidnej nauki gospodarstwa domowego, my z pewnością bylibyśmy dziś już złem małżeństwem — odparł Zdzisł, całując z wdzięcznością rękę pocziwej pani Poli.

Marja Dobromolska.

MORWA BIAŁA

Podstawą jedwabnictwa są liście morwy białej — *Morus Alba* — służące jako pokarm gąsienicy jedwabnika.

Jest to drzewo, dochodzące do 18 m. wysokości, grubość pnia dosięga 4 m. obwodu; żyć może 150 lat i dłużej; kora drzewa morwowego jest jasnopopielata, u starszych drzew pobróżdzona. Ciekawą jest rzeczą, że liście nie mają jednakowego kształtu i często na jednej gałązce możemy spotkać rozmaitej wielkości i kształtu blaszki liściowe. Kwiaty są rozdzielnościowe, umieszczone rozmaicie, t. zn. czasem drzewo posiada kwiaty jednego tylko gatunku, a czasem obydwaj rodzaje są na tem samym drzewie umieszczone. Ojczyzną morwy jest Persja i Azja Mniejsza. W Europie jednak zaaklimatyzowała się morwa już od niepamiętnych czasów i wszędzie prawie można się z nią spotkać.

W kraju mamy sporą ilość drzew morwowych, tak doskonale przystosowanych do naszych warunków, że zeszłoroczna straszna zima, która uczyniła prawdziwe spustoszenie nietylko w sadach i parkach, ale i w lasach — morwie zupełnie nie zaszkodziła i drzewo to wyszło z walki z mrozami zwycięsko.

Co do ziemi, to morwa wybredna nie jest; oczywiście, na ziemi lepszej rośnie szybciej.

Gdy zamierzamy zakładać większą plantację morwy, należy wybrać dla niej południowy skłon pagórka, o ziemi lekkiej, przepuszczalnej, z dużym za-

pasem wapna. Na takiej ziemi rośnie morwa najlepiej i dostarcza jedwabnikom najpożywniejszych liści.

Zwykle jednak nie przeznaczamy pod nią specjalnego miejsca, a sadzimy koło domu, wysadzamy nią drogi i t. p. Morwa doskonale może służyć, jako żywopłot wokół sadów, do obsadzania międz. Jak bardzo zmieniłby się na korzyść wygląd naszego kraju, gdyby zniknęły smutne, chróściane płoty i brzydkie siatki druciane, zastąpione przez żywopłoty z morwy!

Sadząc morwę, pamiętać należy, że drzewo to nie znosi absolutnie miejsc dusznych i zacienionych, oraz gruntów torfiastych i podmokłych.

Przy jedwabnictwie użytkową częścią drzewa jest liść, a więc wysiłek pielęgnacji musi iść w tym kierunku, aby wyprodukować możliwie jaknajwiększą ich ilość.

W tym celu przeprowadzamy odpowiednie cięcie korony, dla nadania jej kształtu rozchylonego kielicha, aby umożliwić promieniom słońca dostęp do wszystkich gałązek. Dorosłe drzewo nie sprawia właściwie żadnego kłopotu; cała praca polega na umiejętnym zrywaniu liści, względnie nawet całych gałązek — na pokarm. Trzeba, oczywiście, czynność tę wykonywać ostrożnie, bez łamania. Liści lepiej nie rwać, a obcinać je, aby nie uszkodzić pączka, znajdującego się u nasady każdej blaszki. Dalej, chcąc, aby drzewo przez dłuższy czas dawało obfity zbiór liści, nie można go zbyt z nich ogałacać ($\frac{1}{4}$ liści zawsze powinna być na drzewie zostawiona). Ziemia pod drzewami nigdy nie powinna się zielenić, zawsze musi się znajdować w stanie czarnym. Na wiosnę lub na jesieni należy ją przekopać z dobrze przegniłym, krótkim nawozem. Zasilanie gnojówką może wydać również dobre rezultaty. Na tem ograniczają się wszystkie starania, zarówno koło drzew piennych, jak i krzaczastych.

Najpewniejszym sposobem rozmnażania morwy jest siew. Nasienie do siewu należy wybrać starannie, tak pod względem gatunku, jak i odmiany, gdyż istnieje około 200-tu gatunków białej morwy. Wybieramy odmianę, najlepiej nadającą się dla danej gleby. Najposilniejsze liście daje morwa biała pospolita (*Morus Alba Vulgaris*); odmiana ta jednak ma liście tak drobne, że zbiór jest bardzo kłopotliwy. Z tego względu nadaje się na żywopłoty. Uszlachetniona odmiana poprzedniej — *Morus Alba Vulgaris Colombassa* — posiada liście duże i rośnie nawet na gruntach ciężkich i wilgotnych.

Doskonałą odmianą jest morwa biała pospolita różowa (*Morus Alba Vulgaris Rozea*); rośnie na gruntach nawet bardzo jałowych i suchych, liście ma duże i daje zbiór bardzo obfity. Posiadamy także doskonałą odmianę wielkolistną — *Morus Alba Vulgaris macrophilla* — jest ona jednak dość zawodna, skutkiem dużej wrażliwości na przymrozki wiosenne.

O ile przy zakładaniu sadu owocowego (handlowego) należy się starać o możliwe ujednostajnienie odmian, o tyle, zakładając plantacje morwowe, nie możemy się ograniczyć do sadzenia jednej tylko odmiany.

Cztery poprzednio wymienione gatunki morwy białej są wybrane spośród 200, jako najlepsze dla naszych warunków. Należy posadzić pewną ilość każdego z nich i prowadzić każdy z tych gatunków jako drzewoienne, jako krzak i żywopłot.

Różnorodność trzeba uwzględnić z tego powodu, że rozmaite odmiany mają różne terminy rozwoju wiosennego — liście młode są najposilniejsze, należy się więc starać o możliwe przedłużenie trwania okresu młodych liści.

Oprócz wyżej wymienionego sposobu hodowania morwy przez siew, można ją jeszcze rozmnażać zapomocą odrostków i sadzonek, lecz oba te sposoby dają drzewa słabe. Komu siew wydaje się za długi, niech zakupi w którejkolwiek z ogłaszających się firm drzewka dwuletnie i umieści je w szkółce: skróci sobie w ten sposób czas wyhodowania drzewa już użytkowego.

Z biegiem czasu będzie można kupować drzewka morwowe 5-cio letnie, zdadne już do sadzenia wprost na miejsce; dziś jednak, ze względu na to, że jest to myśl nowa i zapotrzebowanie duże — w niektórych składach starszych drzewek brakuje, jednorocznych natomiast można kupić, ile kto chce.

Nasienie morwy lepiej zbierać z drzew starszych, ale jeszcze w pełni sił. Drzewo, z którego zamierzamy zebrać nasienie, powinno mieć przynajmniej przez dwa lata nieobrywane liście.

Owoce muszą być dokładnie dojrzałe. Najlepiej przystępować do zbioru w momencie, gdy owoc zaczyna opadać, wtedy podścielamy pod drzewo płachty i lekko otrząsamy na nie jagody. Następnie wygniatamy zebrane owoce rękoma w naczyniu z wodą, ciągle ją odlewając, wraz ze spływającymi częściami miąższu, oraz gorszymi nasionami, które, jako lekkie, spływają. Na dno opadnie najdorodniejsze nasienie, z wyglądu podobne do prosa. Wymywszy je dokładnie, aby miąższu nic nie zostało, przesuszamy w cieniu i zachowujemy do następnej wiosny.

Najlepszą porą do siewu są pierwsze dni maja; przed siewem dobrze jest nasiona namoczyć na 48 godzin w wodzie z odrobiną soli. Następnie, dla równiejszego siewu, mieszamy ziarenka z piaskiem i siejemy w poprzednio przygotowaną ziemię. Ziemia pod siew morwy winna być przygotowaną podobnie, jak pod rozsądę warzyw. W tym celu wybieramy kawałek żywej ziemi, doskonale oczyszczonej z chwastów; grządkę dzielimy zapomocą sznura na rzadki, odległe od siebie o 20 cm., i siejemy nasionka możliwie rzadko. Nasienie nie powinno być przykryte grubiej, niż na 2 cm.

Nasiona wschodzą w ciągu 15 do 20 dni. Ziemia na rozsadniku powinna być stale pulchna i bezwzględnie wolna od chwastów, koniecznym więc jest możliwie częste motyczenie, które jednak, z obawy uszkodzenia delikatnych korzonków, musi być wykonywane ostrożnie. W czasie długotrwałej suszy trzeba podlewać wystałą wodą, zwłaszcza, nim nasiona wejdą, gdyż zasuszenie morwowych sadzonek powoduje ich zamarcie. Gdy siewki mają już po trzy listki, należy je przerwać tak, aby normalna odległość jednej roślinki od drugiej wynosiła 5 cm. Przy sprzyjających warunkach siewki w pierwszym roku powinny osiągnąć wzrost 20 — 30 cm.; aby przyspieszyć ich wzrost, należy w czerwcu i lipcu, podlewając, dodać do wody odrobinę saletry (1 gr. na 1 litr wody); zasilenie takie działa doskonale. Od połowy sierpnia zmniejszamy podlewanie, aby przyspieszyć drewnienie. Przed samym opadnięciem liści należy starannie przebrać wszystkie płonki i odznaczyć zapomocą rafji, lub włóczki, osobniki z dużymi i szlachetnymi liśćmi, aby na wiosnę, przy sadzeniu do szkółki, można je było oddzielić od dziełek, wymagających uszlachetnienia.

Po pierwszych jesiennych przymrozkach nakrywamy rozsadnik nie bardzo grubo liśćmi, wymięszanymi z drobnymi gałązkami drzew iglastych. Zabezpieczamy siewki nie tylko od mrozu, ale i od szkód, wyrządzanych przez myszy. Z nastaniem pierwszych

dni wiosny wybieramy miejsce na szkółkę. Miejsce to musi mieć dobrą wystawę słoneczną i ziemię silnie znawożoną. Celem spulchnienia ziemi i ułatwienia sobie walki z chwastami, przeprowadzamy półmetrową regulówkę, poczem przekopujemy ją płytko z dobrze przegniłym obornikiem.

(d. c. n.)

M. Saryusz-Stokowska.

„300 ZŁOTYCH MIESIĘCZNIE“

Niedawno otrzymałam list, adresowany nie do „Bluszczu“, lecz do „Kursów Korespondencyjnych“, z zapytaniem: czy trzysta złotych miesięcznie starczy na utrzymanie (życie) rodziny inteligentnej, średnio zamożnej, składającej się z dwóch osób dorosłych, dziecka siedmiomiesięcznego i dwojga służby.

Regulamin „Kursów“ tego rodzaju korespondencji nie przewiduje, odpowiedziałam więc listem prywatnym, że dla większości inteligencji pracującej, suma trzystu złotych miesięcznie na samo życie jest maksymalną. (Komorne, opłata służących, miesięczne przyjęcia i t. p., są, zgodnie z danymi listu, pokrywane z innych źródeł). Oczywiście, nie mogłam na użytek jednej z licznych korespondentek robić szczegółowego kosztorysu — rzeczy bardzo marudnej i pracowitej, a dosyć niewdzięcznej, ze względu na to, że kosztorys, zrobiony obcą ręką, nikogo nie zadowolni.

Życie w Polsce nie jest tak standaryzowane, jak na Zachodzie Europy, a szczególnie, jak w Ameryce. Tam ludzie jednej sfery, a głównie jednej zamożności, jedzą mniej więcej to samo, w tych samych ilościach i o tych samych godzinach. U nas co dom, co rodzina — to inne wymagania, inne przyzwyczajenia. Nieraz ludzie bardzo zamożni jadają znacznie skromniej od nieomal biedaków, którzy wszystkiego innego sobie odmawiają, na wszystkim skąpią, byle się smacznie i dostatnio odżywiać. Pojęcia o tem, co jest smaczne i dostatnie jedzeniem, też się ogromnie różniczkują, stąd nie tylko ilości konsumowanych potraw, lecz i ich części składowe nie dadzą się tak łatwo obliczyć.

Trzysta złotych na pożywienie — bez wydatku na przyjęcie gości! — według normalnego budżetu, nie powinno to być więcej ponad 25 proc. całego dochodu (przed wojną światową wydatek na życie, czyli jedzenie, nie powinien być przewyższać 20 proc. całokształtu wydatków rodziny!). Trzysta więc złotych miesięcznie na życie może wydać rodzina wysokiego urzędnika, oficera w stopniu bodaj czy nie generała, zamożniejszego kupca — ludzi, rozporządzających stałym miesięcznym dochodem 1200 złotych.

Czy za te trzysta złotych można dobrze odżywić pięć osób? — myśl ta nie dawała mi spokoju przez dni kilka, aż nakoniec postanowiłam zrobić szczegółowe obliczenie. Obliczenie to nikogo nie zadowolni. Jestem zupełnie przygotowana na to, że jedni powiedzą: — za mało — drudzy: — za wiele. Przy tem zaznaczam, że ilości brałam średnie, raczej duże, i jadłospisy układałam według przeciętnego gustu polaka powojennego. Może wprowadziłam trochę więcej jarzyn i sałat, niż konserwatyści dotąd używają, no, i kolacje, gwoli oszczędności i wskazówek współczesnej diety, są prawie wszystkie bezmięsne; natomiast raczej obiadowe mięsa w niczem nie przypominają dozwolanych obecnie przez lekarzy 60 do 100 gramów.

DZIEŃ I.

Śniadanie: litr mleka	50 gr.
1/2 kilowy chleb	20 „
4 bułeczki	20 „
6 deka masła	30 „
kawy zbożowej za	15 „
	<u>1 zł. 35 gr.</u>

przy kawie prawdziwej 1 zł. 50 gr.

Obiad: Barszcz czerwony.
Kartofle ze słoninką.
Zrazy bite, makaron.
Kompot z rabarbarum.

1 kilo wołowiny (kości na barszcz)	2 zł. 80 gr.
1/2 kilo buraków	10 „
2 kilo kartofli	20 „
6 deka słoniny	24 „
grzybek, włoszczyzna, przyprawy	20 „
makaron (20 deka)	34 „
5 deka masła	25 „
pół kilo rabarbarum	25 „
10 deka cukru	16 „
	<u>4 zł. 54 gr.</u>

Kolacja: Zsiadłe mleko 1 1/2 litra	75 gr.
Kasza hreczana (30 deka).	45 „
5 deka słoniny	20 „
4 bułeczki	20 „
herbata i cukier	30 „
	<u>1 zł. 90 gr.</u>

Pozatem dla dziecka:

1/2 litra mleka	25 gr.
jakaś kaszka	10 „
jajko	15 „
jabłko na purée	30 „
	<u>80 gr.</u>

i kilo chleba dla służących 35 „

Razem: Śniadanie	1 zł. 35 gr.
Obiad	4 „ 54 „
Kolacja	1 „ 90 „
dodatki dla dziecka	80 „
chleb dla służby	35 „
	<u>8 zł. 94 gr.</u>

DZIEŃ II.

Śniadanie to samo.

Obiad: Zupa cytrynowa.
Szytyle cielęce, szpinak.
Sałata zielona ze śmietaną.
Budyń z proszku Luba.

1 kilo cielęciny	2 zł. 80 gr.
10 deka ryżu	12 „
pół cytryny	8 „
włoszczyzny	5 „
kwaterek śmietany (zupa i sałata)	60 „
1 jajko	14 „
bułeczka	5 „
1 kilo szpinaku	30 „
3 deka masła i 6 deka szmalcu	45 „
mąka, mleko i t. p.	20 „
proszek Luba (poziomkowy)	22 „
10 deka cukru	16 „
pół litra mleka	25 „
2 pęczki sałaty	30 „
	<u>5 zł. 72 gr.</u>

Kolacja: Pierogi leniwe:

1/2 kg. sera	80 gr.
1 jajko	14 „
1/2 kg. mąki	40 „
6 deka masła	30 „
bułeczka tarta	5 „
4 bułeczki	20 „
herbata i cukier	30 „
	<u>2 zł. 19 gr.</u>

Razem: Śniadanie	1 zł. 35 gr.
Obiad	5 „ 72 „
Kolacja	2 „ 19 „
Pożywienie dziecka	80 „
Chleb dla służby	35 „
	<u>10 zł. 41 gr.</u>

DZIEŃ III.

Obiad postny: Rosół grzybowy z kartoflami.
Szpinak z omletem.
Budyń z sera z sosem waniljowym.

2 deka grzybów	40 gr.
włoszczyzna	5 „
kartofle	10 „
1 deka masła	5 „
1 kilo szpinaku	30 „
4 jaja	56 „
masło	15 „
mąka, mleko	20 „
pół kilo sera	80 „
10 deka mąki	8 „
3 jaja	42 „
10 deka cukru	16 „
2 deka rodzynek	12 „
pół litra mleka	25 „
proszek „Luba“ na sos	15 „
10 deka cukru	16 „
	<u>5 zł. 95 gr.</u>

Kolacja: 1 kilo szparagów	1 zł. 80 gr.
10 deka masła	50 „
bułeczka tarta	5 „
4 bułeczki	20 „
herbata i cukier	30 „
	<u>2 zł. 85 gr.</u>

Razem: Śniadanie	1 zł. 35 gr.
Obiad	3 zł. 95 gr.
Kolacja	2 zł. 85 gr.
Specjalne pożywienie dziecka	80 gr.
Chleb dla służby	35 „
	<u>9 zł. 30 gr.</u>

Takich obrachowań zrobiłam siedem na wszystkie dni tygodnia, przyczem niedziela z lepszym obiadem i zimnem mięsem na kolację, kosztowała 12 złotych, a inne dni tygodnia wahały się około 9 złotych. Jadłospisy są skromne, układane według cen warszawskich. W małej mieścinie na Pomorzu ceny produktów są zapewne o wiele niższe, a co zatem idzie, można będzie sobie pozwolić na smaczniejsze dania. Jestem jednak spokojna, że odpowiedziałam prawdę—za trzysta złotych miesięcznie taką rodzinę wyżywić można.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

ZUPA SZPARAGOWA (JARSKA).

Ugotować smak z włoszczyzny. Pół kilo szparagów drobniejszych oczyścić z włókien, łebki i części delikatniejsze przy nich odkrajać i pozostawić do dalszego użytku. Resztę szparagów pokrajać w drobną kostkę, wsypać do smaku z włoszczyzny i gotować razem, aż zupełnie zmiękną. Marchew wyjąć, pietruszkę, por, seler, cebulę i szparagi przetrzeć przez sito, włożyć napowrót do smaku. Dodać łebki szparagów, pokrajane w kostkę, gotować wolno, aż zmiękną. Zaprawić zupełną dobrą łyżką mąki i masła. Do wazy wbić dwa żółtka i wlać półkwarterek słodkiej śmietanki. Zupełnie wlewać potrochu, rozbijając dobrze łyżką, aby się żółtka nie zwarzyły. Oddzielnie podać drobne grzanecki z bulki, zrumienione z masłem i ostrym serem.

LINY Z CHRZANEM.

Nieduże liny (około 6 sztuk na kilo) oczyścić, jak zwykle, nie uszkadzając skórki, która po usmażeniu jest nadzwyczaj smaczna i delikatna. Rozplatać na płask, aby się uformowały jakby dwa cienkie kotleciki. Osolić na godzinę. Tymczasem utrzyć spory korzeń chrzanu, osolić, trochę pocukrzyć, polać octem, pozostawić odkryty na talerzu, aby zbytnią ostrość stracił. Zasmażyć łyżkę masła z dużą łyżką mąki, włożyć w to chrzan, poddusić razem, rozprowadzić szklanką śmietany na bardzo gęstą masę, ostudzić. Połówki linów utarzać w mące, następnie w rozbitym jajku, na koniec w fartej bułeczce i smażyć na obfitym smalcu, lub na maśle z dodatkiem oliwy. Ułożyć jeden obok drugiego na ogniotrwałym półmisku, każdy kawałek grubo pokryć masą chrzanową i wstawić na pięć minut w bardzo gorący piec, aby się po wierzchu zrumieniły. Na patelnię, na której się smażyły liny, podlać wody, zagotować i wylać sosik na półmisek, pod liny, aby, zapiekając się, nie przywarły do półmiska.

KURCZĘTA SMAŻONE.

Bardzo młode i delikatne kurczęta, które przy pieczeniu w piecu, a nawet duszone w rondelku, zanadto wysychają, moż-

na przyrządzić w sposób następujący. Kurczątko rozkrajając na połówki (większe na ćwiartki), zbić mocno, jak kotlety cięjące, wyjmując starannie kostki, pokruszone przy takim zbijaniu. Utarzać w mące, w rozbitym jajku, w fartej bułeczce. Natychmiast, aby bułeczka nie odpadła, smażyć na rozpalonym, w dużej ilości, smalcu. Gdy się ładnie z obu stron zrumienia, wstawić z patelnią do piecyka na kwadrans, aby doszły. Ubrać na półmisku zieloną pietruszką i podać do nich salatek zieloną, obficie zaprawioną gęstą śmietaną. Solić kurczęta dopiero po usmażeniu, w chwili wstawienia do pieca (używać do tego bardzo drobnej soli).

MARMELADA Z RABARBARUM.

Trzy kilo lodyg rabarbarowych, starannie oczyszczonych z włókien i drobno pokrajanych, wrzucić na syrop, usmażony z dwóch kilo cukru i litra wody. Wymieszać od dna i smażyć wciąż mieszając, aż masa się stanie zupełnie przezroczysta. Wrzucić w połowie smażenia skórki z cytryny, otartą na tarce, lub, kto woli, przed samem ukończeniem smażenia wlać kilka kropel esencji ananasowej. Półtorej pastylki benzoesu rozpuścić w łyżce gotowanej wody, wlać do marmelady, wymieszać i, nie gotując więcej, odstawić od ognia. Gorącą jeszcze składać w dobrze wygrzane słoiki. Zawiązywać dopiero nazajutrz, przyczem dobrze jest przykryć marmeladę krążkami pergaminu, umoczanymi w spirytusie salicylowym: chroni to marmeladę od pleśni, która się na nią łatwo rzuca.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE

Pani W. — Sieradz. — Najlepiej prać pończochy jedwabne w zaledwie letnim odwarze, wygotowanym z liści bluszczowych lub białej fasoli. Nie trzeć, tylko wyciskać, następnie wyplókać, roztrząpać, osuszyć w czystym prześcieradle, a gdy przewidnią, naciągnąć na drewnianą formę w kształcie nogi. Maglować i prasować nie należy, bo się jedwab prędko niszczy i oczka puszczają. Kto nie może mieć takiej formy, niech pończoszki wyciągnie, nada im odpowiedni fason, a gdy wyschną, wyciągnie na nogach. — Popiół z pieców trzeba wybierać w kubelek, nakryty mokrą płócienną ściereką, pod którą zręcznie należy wsunąć łopatkę z popiołem i wysypywać go, nie odkrywając naczyń. Unikniemy w ten sposób kurzu i kwaśnego odoru, wydzielającego się przy tej czynności.

Pani J. M. — Turkocin. — Na pierwsze i trzecie pytanie odpowiedź wysłana pocztą, drugą zauważyła już pewno Sz. Pani w przepisach w 20-tym numerze pisma.

UNIWERSYTECKA SZKOŁA PIELEŃNIAREK I HIGJENISTEK w Krakowie otwiera nowy kurs dnia 1 września 1930 r. Nauka trwa 2 i pół lat. Przyjmuje się tylko internistki. Wykształcenie: 6 klas gimnazjalnych, lub równorzędne. Zgłoszenia: Dyrekcja Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higjenistek w Krakowie, Kopernika 25.

300

WYTWORNE PANIE!!!

UŻYWAJĄ DLA DYSKRETNYCH PŁÓKAŃ

DAMOSAN



ESENCJĘ
KOSMETYCZNO-
ANTYSEPTYCZNA

ORYG. WYRÓB FIRMY HENRYK ŻAK, POZNAŃ.

295

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnosiłaska 19, tel. 244-75.

Drak. Zaki. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

W sprawie art. 141 i 142.

Pani Zofja Galicka w Nr. 15-tym „Bluszczu“ tak obszernie i wyczerpująco ujęła kwestję artykułów 141 i 142, że, solidaryzując się z nią całkowicie, zaledwie parę słów chcę jeszcze dorzucić.

Zdaje mi się, że dla naszego, kobiet, w sprawie tej porozumienia, musimy wyraźnie rozgraniczyć dwa zagadnienia; jedno brzmiałoby: „Mieć, czy nie mieć dzieci“ i byłoby kwetsją zupełnie subiektywną; drugim byłaby sprawa artykułów 141 i 142, sprawa, rozsadzająca szranki zainteresowań osobistych, a wkraczająca w dziedzinę kwestyj społecznych i ekonomicznych.

Iu się przedewszystkiem nasuwa pytanie: jakim prawem? Jak można ustalać normy prawne, któreby sięgały dziedzin tak intymnych, tak bardzo osobistych?

Wymienione paragrafy naruszają wolność kobiety w rozporządzaniu sobą, bo przecie dziecko w łonie matki stanowi jeszcze jedną z nią istotę.

Powie ktoś, że płód jest już bytem odrębnym, że przysługują mu nawet pewne uprawnienia w dziedzinie prawa; zgoda; lecz wszystko jest uwarunkowane tem „gdy się urodzi“, z tą chwilą staje się podmiotem prawa i wtedy niech się nim prawodawstwo opiekuje.

Nie kaźcie rodzić, nie twórzcie praw, których sankcją ma być więzienie, za to, że kobieta chce być panią swego organizmu, a nie będzie dzieci uduszonych i utopionych, niemowląt, podrzucanych, jak szczenięta pod bramą, nie będzie dzieciobójczyń.

Piekietne to w swej ohydzie, a jakże wymowne, gdy matka krew swą i ciało porzuca, lub zabija...

Taka nie powinna była rodzić.

Dlaczego urodziła?

Nie wiedziała, jak się tego ustrzec, nie miała pieniędzy na pomoc lekarską, słowem, znalazła się w matni, którą utworzyło prawodawstwo w imię szczytnych haseł i „humanitarnych“ zapatrywań.

Byłoby to zabawne, gdyby nie było tak smutne, bo kiedyż uświadomimy sobie, że nie ilość, lecz jakość ludzi decyduje o poziomie społeczeństwa?

Zresztą z tą ilością też w Polsce źle nie jest, gdyż przyrost ludności mamy znaczny, może zbyt duży, gdy się zobaczy, ilu jest bezrobotnych i ile jest nędzy.

Nikt nie ma prawa wglądać w tajniki życia kobiety, bo od art. 141—142, doprawdy, nieduży już krok wogóle do reglamentacji płciowego życia kobiety.

Myślę, że możemy się różnić w kwestji, czy warto mieć dzieci i ile, ale chyba wszystkie kobiety muszą się oburzyć i wołać przeciw artykułom kodeksu, które brutalnie w nas godzą.

Tym, któreby się obawiały depopulacji w Polsce, przypomnę, że poza normami ustanowionemi (które w danej kwestji tak łatwo obejmą kobiety, które naprawdę zechcą je obejść i które... stać będzie na to), są inne drogi, a więc agitacja w piśmie i słowie.

Namawiajcie panie swe siostrzyce na częste i liczne macierzyństwo, choć ja osobiście uważam, że instynkt rozrodczy jest tak silny, że większość zechce mieć dzieci, gdy... będzie mogła.

Dajcie rzeszom niezamożnych kobiet przeciętny

dobrobyt, a 90 procent z nich zechce mieć go z kim podzielić i będą miały dzieci. Mamy w kraju bezrobotnych i ciężkie warunki ekonomiczne, nie warto zachęcać do stwarzania nowych istnień ludzkich, a raczej sięgnąć do teoryj Malthusa i spopularyzować je.

Zbrodnią zaś są zakazy art. 141 i 142, godzące w prawa ludzkie kobiety i tak społecznie szkodliwe w swych skutkach.

„To nasza kobieca sprawa“ i kobiety muszą się o niej wypowiedzieć, a przedewszystkiem kobiety-prawniczki.

Czestawa Żyźnierska — Wilno.

Wasza Mównica (odpowiedź na artykuł „Szczęście w małżeństwie“, Jednej z wielu).

Koszmarne sny dręczyły mię przez całą noc, podświadomie przeczuwałem, że czeka mię coś niespodziewanego, coś, co właśnie nastąpić musi po obudzeniu się. I stało się: żona budzi mię rano, jest blada, dziwnie na mnie patrzy... „Chodź — powiada — do „Mównicy“ i powiedz, co robi druga strona, tylko prędko!“ Jedynie żonaci rozumieją kobiety, więc w mig zrozumiałem, że do telefonu wzywa mię moj adwokat!

Co za naiwność i brak sprytu, pomyślałem wstydliwie o „drugiej stronie“, przeczytawszy podsunięte mi „Szczęście w małżeństwie“.

— No i co?! — Ironicznie triumfująco pyta mię żona — jesteś jak wszyscy! „Jedna z wielu“ zapytuje, co ty robisz?

Zebrawszy więc zaspane myśli, kreślę odpowiedź.

Słusznie „Jedna z wielu“ zauważyła, że charakter mężczyzn jest męski, a kobiet, kobiecy, a takie różnice, jak pochodzenie, wychowanie, inteligencja, stwarzają właśnie odrębne typy mężczyzn i kobiet!

Wymagania mężczyzn są bardzo skromne: mówiąc o kobietach, jako żonach, pragniemy mieć żony przedewszystkiem taktowne, inteligentne i spokojne, nadto gospodarne i oszczędne. Kto szuka nieszczęścia, bierze za żonę piękną kobietę! Kobieta sprytna budzi nieufność.

Kobieta, kierująca się tylko sprytem, nie posiada rozumu. Kobiety nie piękne, lecz pełne zalet i skarbow duszy, pozostają samotne, bo spotykały mężczyzn małowartościowych, płytkich, więc nie mogły się „podobac“.

Bezwarunkowo, że u mężczyzn tkwi głęboko, jak u wszystkich stworzeń rodzaju męskiego, chęć opiekowania się i obrony słabszego rodzaju istot, jakimi są bezsprzecznie kobiety; nie znaczy to jednak, aby mężczyzna chętnie widział swoją żonę, jako bezradne, naiwne dziecko, które trzeba prowadzić wiecznie za rękę. Owszem, dzielna żona, mądra, jest pożądana, tylko nie może w tych wszystkich cechach męża przewyższać, bo wówczas jego duma i ambicja są podrażnione, więc tego nie lubi. Mąż musi w każdym wypadku do pewnych granic górować nad żoną i pod tym względem nie może ich dzielić zbyttnia odległość, gdyż wówczas to męczy.

Żona nie jest niewolnicą, nie powinna zatracać siebie dla męża i dzieci! Małżeństwo, to coś więcej, aniżeli spółka, gdzie dwaj spółnicy, dla dobra interesu,

powinni jedynie być uczciwi i ufać sobie wzajemnie. Małżeństwo, to współzycie dwojga dusz, oparte na obopólnym zrozumieniu się. Cały swój rozum poświęcić powinni na to, aby im było razem dobrze. Droga wzajemnych ustępstw można osiągnąć szczęście.

Na zakończenie obiecuję Panie pracować nad sobą, aby się „udoskonalić“. Brawo! Tylko tak dalej, a będzie Wam i nam dobrze!

„Maż z Mównicy“ — *Borysław.*

Kto zasługuje na potępienie. (w odpowiedzi p.p. Świeżyńskiej i Dzieciolowskiej).

Podzielałam w zupełności zaciekawienie p. Świeżyńskiej, w jaki sposób wypowie się ogół czytelniczek w sprawie nieślubnego macierzyństwa, chcę więc również zabrać głos w dyskusji, jaka wywiązała się na łamach „Naszej Mównicy“.

W wystąpieniach zarówno p. Świeżyńskiej, jak p. Dzieciolowskiej uderzyło mnie przedewszystkiem b. specyficzne sformułowanie powodów, jakie doprowadziły kobietę do macierzyństwa nieślubnego.

Zarówno p. Dzieciolowska jak p. Świeżyńska uogólniają poszczególne wypadki, pomijając zupełnie pozostałe możliwości, to też założenia, na jakich opierają swe rozumowanie, niewiele, jak sądzę, trafią do przekonania.

Za takie uogólnienie uważam przedewszystkiem zdanie p. Dzieciolowskiej, że: „najczęściej kobieta kierowała miłością interesowną“; w rzeczywistości nadzieja, że będzie poślubiona. W tych wypadkach kobieta najczęściej osiąga swój cel i zostaje matką ślubną (której już p. Dzieciolowska nie odmawia swego szacunku).

Mówiąc o motywach postępowania, należałoby zaznaczyć, jakie środowisko mamy na myśli. Sądzę jednak, że nasza dyskusja powinna uwzględniać przedewszystkiem kobiety ze sfer miejskich, gdyż lud wiejski patrzy zupełnie inaczej na matki nieślubne, dzięki czemu całe zagadnienie z moralnego punktu widzenia zostaje złagodzone.

Trudno doprawdy zgodzić się z twierdzeniem p. Świeżyńskiej, wygłoszonem, jako pewnik, że każda matka dawała swemu dziecku życie „dobrowolnie i świadomie“, gdyż w dzisiejszych czasach uświadamiania młodzieży o życiu płciowem nikt chyba w uświadomioną nieświadomość nie wierzy.

P. Świeżyńska z jednej strony przecenia znacznie uświadamiania, z drugiej znów strony zapomina o tem, że ulegnięcie pokusie może nastąpić po długiej i ciężkiej walce. Ujawnienie niebezpieczeństwa nie jest równoznaczne z jego usunięciem. Wszyscy wiedzą, że samochód może przejechać, a ileż zdarza się wypadków przejechania!

Zostając matką nieślubną, kobieta w większości wypadków zawiniła przez swą lekkomyślność; nie unikała niebezpiecznych sytuacji. Ale w danym wypadku daje się też zastosować często powtarzane zdanie: „teorja i praktyka, to rzeczy różne“. Musimy się zgodzić z tem, że sam fakt teoretycznego uświadamiania nie wystarcza jeszcze, by kobieta dobrze orjentowała się w każdej sytuacji i umiała nad sobą zaprowadzić, zwłaszcza, jeśli tego nie życzy sobie doświadczony mężczyzna.

Im kobieta jest mniej zepsuta, z tem większem zaufaniem odnosi się do ludzi, nie jest więc w stanie ciągle wypatrywać grożącej jej zasadzki. Dlaczego obie panie nie chcą wziąć pod uwagę tego wypadku, że kobieta młoda, zakochana, a więc ufająca danemu mężczyźnie, do ostatniej chwili nie zdaje sobie sprawy

z tego, co nastąpi? „Chorobliwie wybujała zmysłowość“? Nie, wystarczy zupełnie przeciętny temperament. W naszym północnym klimacie niema znów tak wielu południowych temperamentów, jakby to wynikało z wywodów p. Świeżyńskiej. Obie panie pominięły zupełnie kwestję w danym wypadku zasadniczą: na jakiego rodzaju mężczyznę trafiła dana kobieta. Doprawdy, prędzej przyznałabym słuszność twierdzeniu, że ogół matek ślubnych przedewszystkiem dlatego nie powiększył grona nieślubnych, że miał do czynienia z mężczyznami uczciwymi, lub też liczącymi się z tymi, którzyby za tą kobietą mogli się ująć.

Rozumiem, że dla dobra społeczeństwa pewne fakty należy potępić, ze względu na ich ostateczne rezultaty. Jednakże w moralnej ocenie każdego czynu należy wziąć w bardzo silnym stopniu pod uwagę okoliczności, w jakich został popełniony. Pomijając już wzmiankowaną, najbardziej zasadniczą kwestję uczciwości mężczyzny, uwzględnić musimy układ warunków domowych. Nieraz ten stosunek, który z początku mógł być niewinnym flirtem, był jedynym jasnym promieniem w szarzyźnie dni powszednich. Nieraz okoliczności życiowe stały na przeszkodzie usunięcia wczas niebezpieczeństwa. A jeśli nawet, w myśl założeń p. Świeżyńskiej, w grę wchodził wybujały temperament, to czyż mamy prawo odmawiać zgóry wszelkiej litości, nie troszcząc się o to, czy usiłowano go opanować, czy nie.

Jeżeli kobieta zbłądziła, lecz „dobrowolnie i świadomie“ chce ponosić konsekwencje swego czynu, to na szacunek bezwzględnie zasługuje. O moralnej wartości człowieka decydują nietylko jego błędy, lecz sposób, w jaki do swych błędów się ustosunkuje. Kobieta, zostając świadomie matką nieślubną, wyrządza krzywdę swemu dziecku, jednakże, decydując się płacić za nią całym swym życiem, zasługuje na szacunek, jak każda jednostka, która sumiennie wypełniła ciężki obowiązek. Nie każda wina, choćby ciężka, pozbawia prawa do szacunku. Co innego jest szacunek dla pojedynczego czynu, a co innego szacunek dla człowieka, którego życie składa się z szeregu czynów. My nie domagamy się, jak tego obawia się p. Dzieciolowska, „specjalnego szacunku“ dla kobiety za to, że została matką nieślubną, ale uważamy, że czyn ten nie może pozbawiać jej na całe życie prawa do szacunku.

„Tak, ekspjacja jest urodzenie i wychowanie dziecka nieślubnego“, pisze p. Dzieciolowska, „uznać musimy tę odwagę cywilną kobiety wobec całego świata...“, „ale prawa do szacunku przynależne są tylko matce ślubnej“.

Nie jestem doprawdy w stanie zrozumieć, jak można równocześnie uznawać czyjąś odwagę cywilną i odmawiać tej jednostce prawa do szacunku, gdyż dla mnie odwaga cywilna jest jedną z cech, najbardziej zasługujących na szacunek.

Sądzę, że ogół czytelniczek zgodzi się ze mną, że większość matek nieślubnych chętnie zgodziłaby się na małżeństwo, gdyż mało która „świadomie i dobrowolnie“ zgodziłaby się na los, jaki ją czeka. To też jak krwawa ironja brzmi twierdzenie p. Dzieciolowskiej: „całą winę ponosi matka i wobec społeczeństwa, naruszając prawa obowiązujące i wobec dziecka, odbierając mu słodkie imię ojca“. Jak można odbierać to, czego nikt nie miał zamiaru dać?

To też uważam, że ogół kobiet zamiast zastanawiać się nad tem, czy matka nieślubna godna jest szacunku lub nie, powinien wykazać mężczyźnie, uchylającemu się od obowiązków ojcostwa, całą ohydę jego postępków i odpowiednio się w stosunku do takich mężczyzn zachować.

Irena Laskomska — Warszawa.

W obronie matek nieślubnych.

Nie wiem, czemu przypisać należy tak wiele głosów, potępiających matkę nieślubną?

Czy tak Chrystus każe pojmować miłość, przebaczenie? Mówiąc o nieślubnym macierzyństwie, przede wszystkim należy mieć na uwadze klasę robotniczą, włościańską, no i służące.

Pierwsze często znajdują się w nędzy coraz więcej słyszy się o redukcjach w fabrykach, nie więc dziwnego, że tu najwięcej dramatów, zła i występków. A cóż dopiero, gdy robotnica znajdzie opiekuna, który jej mówi o kochaniu, o przyszlęciu szczęściu, o własnym domu. Czy dla tej, która nie ma żadnych podstaw moralnych, a często własnego rodzinnego domu, nie wydaje się ten chłopak jakimś bohaterem, który ją wyrwie z tej nędzy, z szarzyzny bez jutra słonecznego?

Matki, mając nieraz 12-ro dzieci i ciężko pracując, nie mają czasu wychowywać. Coś niecoś powodziła pani nauczycielka, ksiądz, a resztę fabryka, czy inna służba.

Za taką dziewczyną matka nie chodzi, nie przypomina, co wypada. A chłopak, jak chłopak, krew nie woda, w danej chwili może wierzy nawet we własne zaklęcia, a później ostygnie, nie ma kim się krępować, bo dziewczyna sama, nikt za jej krzywdą się nie ujmie, a nakazu żenienia się z uwiedzioną niema.

Przeciwnie, ex-narzeczony wygłasza, że on tam sam nie chodził, aby tylko zrzucić z siebie odpowiedzialność.

A potem oszukana, wzgardzona, zabija dziecko, które jest przypomnieniem jej wiary w ludzi i jej miłości, a stało się przyczyną pogardy.

Raz trzeba skończyć z tem przeświadczeniem, że gdzie dziecko nieślubne, tam rozpusta. Tam może być głupota, brak wychowania, nieokiełznanie temperamentu, miłość, ale nigdy rozpusta.

A służące? Często sama pani domu ułatwia uwiedzenie synalkowi, bo wiadomo, że Józia zdrowa. A pan domu? Nie, lepiej o tem nie mówić, bo to naprawdę ohydla!

Ci, co mają pretensje do rządzenia światem, sami nad sobą i swemi namiętnościami nie chcą, czy nie umieją zapanować. Bo trudno wymagać więcej od prostej dziewczyny, niż od człowieka, który uchoździ za kulturalnego.

Dlaczego, pytam się, taką pogardą nie otoczymy mężczyzny, często wykształconego, tylko głupią dziewczynę?

Jego tak samo będą przyjmować, ścisnąć mu ręce, i nie on nie utraci na honorze; nikt też nie odważy się powiedzieć mu prawdy w oczy, a może ogół jej nie odczuwa?

Mimo wszystko, na wsi samej między włościanstwem jest stosunkowo lepiej, niż w mieście, mniej dzieciobójstw; lud bierze życie prościej, nie dramatyzuje, wiele dziewczyn z dziećmi wychodzi zamąż.

Lud jest więcej religijny, dziewczyna ma też rodzinę, nie czuje się taką opuszczoną w razie nie-szczęścia.

O inteligencji chyba niema co pisać, bo ta jest cywilizowana i ma sposoby, żeby do katastrofy nie dopuścić, no i jej artykuły 141 i 142 nie dotyczą.

Zważywszy, że odpowiedzialność domniemanego ojca jest żadna, a krzywda wielka, jestem stanowczo za artykułem 142a, zmodyfikowanym przez komisję kodyfikacyjną. Dokładnie tylko nie wiem, co należy rozumieć pod słowem „dobro rodziny i ważny interes społeczny“. Mimo wszystko, uważam to za plasterek na ranę i słusznym byłoby dopiero prawo, które nakazywałoby poślubić uwiedzioną. Prawo takie byłoby najlepszym hamulcem na namiętności męskie i raz

na zawsze zniknęłaby sprawa dzieci „nieślubnych“, gdyż procent dobrowolnych matek nieślubnych jest tak znikomy, że nie można ich brać w rachubę.

Z. J. D. — Bielsko.

Zapomnieliśmy!

Cichemi, niestrudzonemi pracownicami w Winnicy Pańskiej są kobiety. Cichemi i nieznanemi.

Nie mówię tu o tej codziennej, trudnej pracy dla rodziny, o tych licznych dramatach, przeżywanych w ciszy własnych wnętrz, łamiących często serce i niszczących organizm, a nieujawnionych i niewiadomych. O tych milionach ofiarnych poświęceń z własnymi upodobaniami, pragnieniami i praw człowieka, co jak wonne kadzidła płoną na ołtarzu domowych Zniczy.

Nie mówię już nawet o pracy zawodowej, wiadomy nam jest i na tem polu wyzysk i brak uznania, jaki najczęściej spotyka kobiety.

Mam na myśli teraz pracę społeczną.

Cichemi, niestrudzonemi, ofiarnemi pracownicami, zwykle bezimiennymi (bez żadnego reprezentacyjnego stanowiska w danej organizacji), są najczęściej kobiety.

Dla was, biali murzyni: praca, dla nas: tytuły i uznanie, pod tem hasłem prowadzą przeważnie „panowie stworzenia“ pracę społeczną.

Ale wiedzcie, panowie, że czasy tyranów i niewolników minęły już dawno, że pańszczyzna nie wróci, że nawet okres wyzysku pracy kończy się również i że hasłem dnia jutrzejszego winna być równość i sprawiedliwość dla obu płci, jak w pracy, tak i w ocenie.

I o tę sprawiedliwość będziemy walczyć.

Nie chodzi nam o zaszczyty i uznanie dla samych zaszczytów i sławy: chodzi nam o sprawiedliwość. Pragniemy, by nadszedł nareszcie czas, gdy wszyscy pracownicy w Winnicy Pańskiej będą równomiernie wynagradzani wedle swych zasług.

By każda kobieta, jako żona i matka, spotykała się z należnym szacunkiem i uznaniem, jako pracownica zawodowa otrzymywała odpowiednią rangę i ocenę, jako społeczniczka, należne stanowisko i uznanie, miast dotychczasowego zapomnienia.

Gdyż obecnie zapomina się wprost o kobietach wówczas, gdy chodzi nie o pracę, a o reprezentację.

Znamienny fakt takiego „zapomnienia“ zaszedł ostatnio w Grodnie. I co dziwniejsze, że właśnie w tem Grodnie, w którym, jak niedawno pisałam, lwia część pracy społecznej spełniają kobiety.

Z racji przyjazdu do Grodna Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, zwołano organizacyjne zebranie, w celu wyłonienia specjalnego komitetu przyjęcia. Zaproszono doń 30 osób, samych mężczyzn.

Gdy przewodnicząca „Rodziny Wojskowej“ zapytała z oburzeniem, dlaczego pominięto zupełnie kobiety, skoro one reprezentują poważne organizacje, liczące po paręset członkiń i wogóle pracują społecznie bardzo intensywnie, spotkała się z niesłychaną wprost odpowiedzią: Przepraszamy, ale... zapomnieliśmy zupełnie o paniach!

Zapomnieliśmy.

Komentarze chyba zbyteczne.

Fakt ten nie jest odosobniony. Takie „zapomnienia“ zdarzają się często. To też tem dziwniejsze i niespodziane były słowa uznania i podziwu, wyrażone publicznie przez starostę grodzieńskiego, na powiatowym zjeździe nauczycielskim, młodym nauczycielkom, które częstokroć w niesłychanie ciężkich warunkach, na zapadłej wsi białoruskiej, wśród niechęci, a nawet czasami i wrogiego nastroju, pracują z pełnem

poświęceniem, zdobywając nieoczekiwane wprost rezultaty.

Ale takie słowa uznania są to białe kruki, jakże rzadko polatujące nad głowami niestrudzonych, ofiarnych, cichych pracowników w Winnicy Pańskiej.

Najczęściej się o nich... zapomina.

J. K. — Grodno.

Dobry fach dla kobiet.

Po odezwaniu się w kilku zdaniach w sprawie popierania rodzimego przemysłu tkackiego, byłam bardzo zadowolona, gdy z różnych stron Rzeczypospolitej zaczęłam otrzymywać listy od Szanownych Czytelniczek „Bluszczu“, które zainteresowały się poruszoną kwestją, czyniąc zamówienia na różne rzeczy. Tą drogą składam więc Paniom „Bóg zapłać“, nadmieniając, iż listy oddawałam wprost do tkalni, aby dokonano natychmiast wysyłki zamówienia, lub udzielono żądanych informacji.

Widząc z tego, jaką sympatją cieszy się tkactwo, będące w dodatku prawie wyłącznie specjalnością kobiet, myślę, jakby to było ładnie, gdyby cała Polska pokryła się siecią zakładów tkackich. Z listów Pań, zwracających się do mnie o pośrednictwo, dowiedziałam się, że pewne okolice są zupełnie pozbawione omawianych wyrobów.

Doprawdy należałoby pomyśleć o zorganizowaniu w tych okolicach odpowiedniego kursu, powołując doń instruktorów. Wiele blakających się bezczynnie dziewcząt znalazłoby miłe dla siebie zajęcie, niosąc tem samem pożytek krajowi.

Nauka tkactwa przy dobrych chęciach i dobrych zdolnościach trwa rok, przy mniejszych zdolnościach, oczywiście, trwać może dłużej. Kandydatka powinna mieć 18 lat skończonych i przejść szkołę powszechną. Wykwalifikowana tkaczka ma możność zarabiania od 5—12 złotych dziennie. Jest to więc zarobek przyzwoity, a wobec rozwijającego się zamiłowania do tkanin krajowych, do ozdabiania wnętrza wyrobami rodzinnego przemysłu artystycznego, fach ten ma przed sobą dużą przyszłość.

Sprawą organizowania warsztatów tkackich powinny zająć się intensywnie kobiece organizacje społeczne.

Mam wrażenie, że ten mój projekt wszystkim przypadnie do gustu i odbije się miłym echem w gronie naszych społeczniczek.

Pola Parolowska — Krasnystaw.

Kilka słów o żałobie.

Zwyczaj zachowania pewnych zewnętrznych form, na znak żalu po stracie krewnych, jest bardzo stary i wyrażał się rozmaicie. U nas przyjęło się przywdziewanie na czas pewien czarnych szat i kwefów.

Noszenie żałoby jest prawem zwyczajowem, od którego uchylenie się gorszy wprost niektórych, jak gdyby to był objaw jakiejś potwornej obojętności, lub lekceważenia poważnych obowiązków. Czy to słuszne?

Ileż to razy trafia się, że rodzina nie czuje żadnego żalu po stracie jednego ze swych członków, ale żałobę przywdziać musi, poprostu, aby nie uchybić konwenansowi.

Czy to nie snobizm i obłuda towarzyska?

No, ale mniejsza o tych: chcą i mają na to, niech rok cały obnoszą swój „żał serdeczny“.

Ale zdarza się i co innego.

Traci się kogoś, kogo się ratowało wszelkimi siłami i rozprządzałymi środkami, nie osiągnąwszy zamierzonego celu a wyczerpawszy kasę i oszczędno-

ści. Potem opłacić trzeba pogrzeb, no, i jeszcze żałobę. Czy jest ona konieczna?

Kompletna zmiana odzieży i okrycia na cztery pory roku dla wszystkich członków rodziny, obowiązanych do żałoby, gdy rodzina jest liczna, ileż to kosztuje! Dla zachowania tej formy, rodzina zmuszona jest nieraz okupić ją kosztem długich prywatnych rzeczy niezbędnych dla pozostałych, może kosztem zdrowia. Czy przyjdzie co z tego temu nieodżałowanemu lub tej nieodżałowanej? Czy w tej formie mamy koniecznie wyrażać żal, gdy środków brak, lub przychodzi z trudem, ciężką pracą?

Czy nie lepiej byłoby wyzwolić się z tego zwyczaju?

Jak Panie sędzicie?

Stała Czytelniczka.

Poza dyskusją, trzeba czynów.

Czytając stale artykuły za i przeciw przerywaniu ciąży, widzę, że ogół czytelniczek żywo interesuje się tą sprawą.

Chcąc sprawdzić, czy nie są to tylko ściśle akademickie rozważania i, czy równoległe ze słowami ujawnia się czyn, przedstawiam Paniom następującą sprawę, ponieważ ja sama w dotychczasowym układzie warunków nie zrobić nie mogę.

Mam służącą, która jest w ciąży i spodziewa się rozwiązania w połowie lipca.

Ja na początku czerwca wyjeżdżam na letnisko, gdzie z różnych względów służącej mieć nie mogę.

Dziewczyna ta rodziny żadnej tu nie ma, Warszawę zna niewiele, bo jest zaledwie od 3-ch miesięcy, na wieś wracać nie chce; mówi: „wolę umrzeć tu, bo by mię ojciec tam zabił“. Skierowałam ją przeto do: Sekcji Opieki nad matką i dzieckiem, potem do Kasy Chorych, do Kliniki przy szpitalu. Dzieciątka Jezus, wreszcie do Domu Wychowawczego przy tymże szpitalu, ażeby udzielono jej opieki na czas do rozwiązania; ale wszędzie odmówiono pomocy, ze względu, że dziewczyna może jeszcze pracować.

O tem wie równie dobrze i ona i ja, ale gdzie ma pracować? Przyjąć jej obecnie nigdzie nie chcą, a więc czy przez te kilka tygodni ma umierać z głodu (pieniędzy nie ma) i spać na ulicy?

Czy mam dopuścić, aby rzuciła się pod tramwaj, bo jak mówi, los ją do tego zmusza? czy naprawdę nie znajdzie się instytucja, lub osoba, która na te kilka tygodni dałaby kąpiel i trochę jedzenia, wzamian za pracę tej dziewczyny?

A więc proszę mi poradzić i dać odpowiedź (jeżeli ona ma naprawdę nastąpić) jaknajszybciej, ponieważ spóźnione rady i wskazówki nie będą miały dla tej biedaczki żadnego znaczenia.

Warszawa — Ludna 11 m. 52.

Marja Bielińska.

Nasza ankieta gospodarcza.

1. Produkty spożywcze przeważnie załatwia służąca u stałych kupców, którzy mnie znają i dają dobry towar. Wszelkie inne zakupy załatwiam sama; rzadko kiedy mąż.

2. Kupuję u stałych dostawców.

3. Staram się zawsze kupować towar krajowy; pożyczki jedwabne są jednak trwalsze zagraniczne.

4. W Grodnie brak jest jedynie gotowych sukien, które stosunkowo tanio i dobrze można nabyć w Warszawie, oraz galanterji, różnych dodatków, ale wobec ilości mieszkańców, nic to dziwnego.

5. Owszem, czynię często reklamacje, np. zdarza mi się kupić pożyczki jedwabne, które po pierwszym użyciu pękają (to nawet częsty wypadek); niestety, jest to wyrób krajowy.

6. Co do wagi, przeważnie bywa dokładna, lecz zdarzają się torebki zbyt grube, z wielką ilością kleju, a nawet piasku na spodzie.

7. Owszem, ogłoszenia czytam.

9. Po suknie i kapelusze wyjeżdżam czasem do Warszawy.

I. Korulska — Grodno.